ROZDZIAŁ PIERWSZY

Gazeta wypadła mu z rąk, przez chwilę leżała rozpostarta na kolanach, potem powolutku ześliznęła się na wypastowaną posadzkę. Można by sądzie, że zasnął, gdyby nie dwie wąskie szparki od czasu do czasu rysujące się pod powiekami.

Czy jego żona dała się zwieść? Robiła na drutach, siedząc w niskim fotelu po drugiej stronie kominka. Nigdy nie przyglądała mu się jawnie, ale od dawna wiedział, że nic nie uchodzi jej uwagi, nawet ledwie dostrzegalne drganie mięśnia na jego twarzy.

Naprzeciw ich domu czerpak ze stalowymi szczękami opuścił się ze szczytu dźwigu i ciężko, z łomotem żelastwa uderzył o ziemię koło betoniarki. Za każdym razem huk wstrząsał domem i za każdym razem żona wzdrygała się i przykładała dłoń do piersi, jakby ten łoskot, do którego przecież zdążyli już przywyknąć, godził ją w samo serce.

Obserwowali się nawzajem. Nie musieli wcale na siebie patrzeć. Od lat obserwowali się tak właśnie, wprowadzając do gry coraz to nowe pomysły.

Uśmiechał się. Zegar z czarnego marmuru, z ozdobami z brązu, wskazywał piątą za pięć. Wyglądało, jakby liczył minuty i sekundy. Rzeczywiście liczył je odruchowo, czekając — i on także — aż duża wskazówka Ustawi się pionowo. Wtedy zamilkną odgłosy mieszarki i dźwigu. Mężczyźni w ceratowych pelerynach, z twa-

rzą i dłońmi ociekającymi deszczem, znieruchomieją na moment, zanim ruszą w stronę baraku z desek, ustawionego w pustym kącie placu budowy.

Był listopad. Od czwartej po południu pracowali przy świetle reflektorów, które zaraz zgasną, wówczas bez żadnego przejścia zapadnie ciemność i cisza, zaułek oświetlać będzie tylko jedyną latarnia gazowa.

Emil Bouin miał nogi ociężałe od gorąca. Kiedy uchylał powiek, widział, jak z głowni na palenisku wykwitają płomienie, jedne żółte, inne niebieskie. Kominek był z czarnego marmuru, tak samo jak zegar i jak wiszące po obu stronach czteroramienne świeczniki.

Gdyby nie poruszające się ręce Małgorzaty i lekkie pobrzękiwanie drutów, którymi przebierała, w domu panowałby bezruch i cisza, jak na fotografii lub obrazie.;

Za trzy minuty piąta. Za dwie minuty. Robotnicy szli; już ciężko i powoli w kierunku baraku, gdzie zmienią; ubranie, ale dźwig pracował jeszcze i ostatni czerpak wznosił się z ładunkiem betonu do oszalowania wyznaczającego pierwsze piętro budowli.

Za minutę. Równo piąta. Wskazówka niepewnie drgnęła na wyblakłej tarczy i rozległo się pięć uderzeń z długimi przerwami, jakby w tym domu wszystko musiało^ dziać się w zwolnionym tempie.

Małgorzata westchnęła, wsłuchana w nagłą ciszę za oknami, ciszę, która miała trwać do następnego ranka.

Emil Bouin rozmyślał. Z niewyraźnym uśmiechem pat-? rzył przez rzęsy na płomienie.

Polano na samej górze było już *tylko* poczerniałym] konturem, z którego unosiły się pasemka dymu. Dwa: pozostałe żarzyły się jeszcze, |ale trzaski zapowiadały, że! i one wnet się rozpadną.

Małgorzata na pewno zastanawia się, czy mąż wstanie,,, wyjmie z kosza nowe szczapy i dołoży do ognia. Oboje przywykli do ciepła kominka i pławili się w nim, aż twarze zaczynały piec od gorąca i musieli odsuwać fotele*.

Nadal uśmiechał się. Nie do niej. Ani nie do ognia! Do pomysłu, który mu przyszedł do głowy.

Nie spieszył się, by go zrealizować. Mieli czas oboje, i on, i ona, cały obszar czasu dzielący ich od momentu, gdy jedno z nich umrze. Jak odgadnąć, które odejdzie pierwsze? Małgorzata też na pewno głowi się nad tym. Myśleli o tym od wielu lat, wiele razy w ciągu dnia. Din obojga stało się to najważniejszym problemem.

Teraz on westchnął z kolei, zdjął prawą dłoń z oparcia skórzanego fotela i nie patrząc poszperał w kieszeni bonżurki. Wyjął z niej notesik, który odgrywał istotną rolę w ich życiu rodzinnym. Wąskie kartki były perforowane, co pozwalało bez trudu odrywać trzycentymetrowe paski papieru.

Notesik miał czerwoną okładkę. Za skórzaną opaskę wsunięty był cienki ołówek.

Czy Małgorzata wzdrygnęła się? Czy zadaje sobie pytanie, co tym razem chce jej przekazać?

Zdążyła się już przyzwyczaić, ale nie mogła przecież przewidzieć, co teraz napisze, i umyślnie nieruchomiał na pewien czas z ołówkiem w ręku, jakby się namyślał.

Nie miał jej nic szczególnego do zakomunikowania, chciał ją tyko speszyć, utrzymać w napięciu właśnie w momencie, kiedy cisza, jaka zapadła na placu budowy, przyniosła jej ulgę.

Przez głowę przebiegło mu parę pomysłów, ale wszystkie kolejno odrzucił. Rytm, w jakim migotały druty, nieco się zmienił. Udało mu się ją zaniepokoić, a w każdym razie obudzić jej ciekawość.

Przedłużył przyjemność jeszcze o pięć minut, słuchając kroków robotnika opuszczającego zaułek.

W końcu napisał dużymi literami:

Kot

Jeszcze przez chwilę siedział bez ruchu, nim zdecydował się włożyć do kieszeni notesik, wydarłszy z niego pasek papieru.

Zwinął go w kulkę, jak dzieci zwijają papier, którym

strzelają z procy. Nie potrzebował procy. Doszedł w tej grze do zadziwiającej, niemal diabolicznej wprawy.

Zwiniętą karteczkę umieścił między kciukiem a środkowym palcem. Kciuk zgiął na kształt spustu od strzelby i prostując go gwałtownie, skierował przesyłkę na kolana Małgorzaty.

Nigdy nie chybiał i za każdym razem doznawał tej samej cichej satysfakcji.

Wiedział, że Małgorzata nie drgnie, uda, że nic nie widzi, dalej będzie robić na drutach i licząc po cichu oczka ruszać wargami, jakby się modliła.

Czasem czekała, aż wyjdzie z pokoju lub odwróci się, żeby dołożyć do ognia.

Kiedy indziej po paru minutach pozornej obojętności prawą rękę niby przypadkiem opuszczała na fartuch i chwytała karteczkę.

Postępowali prawie zawsze tak samo, ale wprowadzali pewne urozmaicenie. Dziś na przykład czekała, aż całkiem ucichnie hałas na budowie i cisza ogarnie zaułek, w głębi którego mieszkali.

Jakby skończyła już swoją robotę, położyła ją obok na: taborecie i z półprzymkniętymi oczyma zdawała się także zasypiać w cieple bijącym z kominka.

Po dłuższej chwili, udając, że dopiero teraz dostrzegła na swych kolanach zwinięty papierek, podniosła go pomarszczonymi palcami.

Jeszcze mógłby przypuszczać, że wrzuci kartkę w ogień, że waha się, ale wiedział, że stanowi to część codziennej komedii. Nie dawał się już nabierać.

Dzieciom zdarza się, że codziennie, przez pewien dłuższy lub krótszy okres czasu, o ustalonej godzinie podejmują z całym przekonaniem tę samą grę. Wszystko zaczyna dziać się „na niby".

Różnica polegała na tym., że Emil Bouin miał siedemdziesiąt trzy lata, a Małgorzata siedemdziesiąt jeden. I na tym, że ich gra trwała już piąty rok i nie wydawali się nią znudzeni.

W dusznej ciszy salonu rozwinęła wreszcie papierek i nie wkładając okularów odczytała nakreślony przez męża wyraz:

Kot

Nie żachnęła się, nie ściągnęła brwi. Zdarzały się liściki dłuższe, bardziej nieoczekiwane, dramatyczniejsze, niektóre wręcz zagadkowe.

Ten tekst należał do najbanalniejszych, Emil Bouin powracał do niego najczęściej, kiedy nie przychodziły mu do głowy inne złośliwości.

Wrzuciła papierek do kominka, gdzie wzbił się cienki płomyk, który natychmiast przygasł. Złożywszy ręce na brzuchu siedziała nieporuszona, w zamarłym salonie tylko kominek zdawał się żyć własnym życiem.

Zegar drgnął, zabrzmiało jedno uderzenie. Jak gdyby był to sygnał, Małgorzata, malutka i drobna, podniosła się z fotela.

Miała na sobie wełnianą suknię bladoróżową jak jej policzki i bladoniebieski fartuszek w kratkę. W .siwiźnie jej włosów można było jeszcze dopatrzeć się paru złotych błysków.

Jej rysy zaostrzyły się z wiekiem. Dla obcych, którzy jej nie znali, wyrażały one słodycz, smutek i rezygnację.

— Kobieta tak szacowna!...

Emil Bouin nie śmiał się drwiąco. Żadne z nich nie pozwoliłoby sobie w tak ostentacyjny sposób wyrażać stanu swej duszy. Wystarczyło im wzdrygnięcie się, grymas w kąciku ust, przelotny błysk źrenic.

Rozglądała się dookoła, jakby zastanawiając się, co teraz zrobić. On wiedział z góry, tak jak w grze w warcaby można przewidzieć, jakim pionkiem partner wykona następny ruch.

Nie omylił się. Skierowała się ku klatce, dużej biało-niebieskiej klatce ze złotą siatką.

Siedziała w niej nieruchomo papuga o pstrym upierzeniu, z oczami utkwionymi w jeden punkt, i potrzeba by-

ło dobrej chwili, aby odkryć, że oczy są szklane, a papuga na żerdce — wypchana.

Mimo to odnosiła się do niej czułe jak do żywego stworzenia i podniósłszy rękę wetknęła palec pomiędzy kraty.

Jej wargi poruszały się, jak przed chwilą, kiedy liczyła oczka. Mówiła do ptaka. Wydawało się, że lada moment zacznie go karmić.

Emil napisał:

Kot

Małgorzata odpowiadała bez słów:

Papuga

Klasyczna odpowiedź. Oskarżał żonę o otrucie kota, jego własnego kota, którego kochał, jeszcze zanim ją poznał.

Kiedy siedział przy ogniu, rozgrzany ciepłem bijącym od płonących głowni, kusiło go zawsze, aby wyciągnąć rękę i pogłaskać miękką, prążkowaną sierść zwierzątka, które niegdyś, ledwie usiadł, zwijało się w kłębek na jego kolanach.

— Zwykły buras — mawiała, kiedy jeszcze rozmawiali ze sobą, przeważnie po to, żeby wszcząć kłótnię.

Kot nie był może rasowy, nie był to jednak zwykły buras. Miał ciało dłuższe, bardziej giętkie i przemykał wzdłuż ścian, koło mebli, jak tygrys.

Łebek miał mniejszy, bardziej trójkątny niż koty domowe, i tajemnicze nieruchome spojrzenie.

Emil Bouin utrzymywał, że jest to dziki kot, który przypadkiem zapuścił się do Paryża. Całkiem malutkiego znalazł na placu budowy, kiedy pracował jeszcze dla Miejskiego Zarządu Dróg. Był wtedy wdowcem i mieszkał sam. Kot od pierwszej chwili nie odstępował go ani na krok. Stały jeszcze wówczas domy po drugiej stronie

zaułka, gdzie teraz wznoszono wielką czynszową kamienicę.

Kiedy poślubiwszy Małgorzatę przeniósł się naprzeciwko, kot przyszedł tu w ślad za nim.

Kot

Kot, którego pewnego ranka odkrył w najciemniejszym kącie piwnicy.

Kot, który zdechł, otruty, po zjedzeniu potrawy przyrządzonej przez Małgorzatę.

Zwierzę nigdy nie zaakceptowało Małgorzaty. W ciągu czterech lat spędzonych w domu naprzeciwko przyjmowało jedzenie tylko z rąk Bouina.

Dwa, trzy razy dziennie na cmoknięcie językiem, które służyło im za sygnał, kot biegł po ulicy za swoim panem jak tresowany pies.

Do momentu, kiedy obaj przeprowadzali się do nowego domu, przenikniętego obcymi zapachami, nikt prócz niego nigdy kota nie pogłaskał.

— Jest trochę dziki, ale przywyknie do ciebie.

Nie przywykł. Nieufny, nie zbliżał się nigdy do Małgorzaty ani do klatki z papugą, wielką jaskrawą arą, która nie umiała mówić, ale rozzłoszczona wydawała przeraźliwe wrzaski.

Twój kot...

Twoja papuga...

Małgorzata była delikatna, niemal krucha. Można ją było sobie wyobrazić młodą i smukłą, już wówczas ubraną w pastelowe tony, w wielkim słomkowym kapeluszu, z parasolką w dłoni, poetycznie przechadzającą się po brzegu rzeki.

W jadalni była zresztą fotografia, na której tak właśnie wyglądała.

Pozostała równie szczupła, tylko nogi jej nieco obrzękły. Zachowała ten sam uśmiech, zbyt słodki wobec życia, jak niegdyś wobec fotografa.

Kot i papuga, oba stworzenia tak samo względem siebie podejrzliwe, wolały obserwować się na odległość, nie bez pewnego respektu. Kiedy kot na kolanach swego pana zaczynał mruczeć, papuga nieruchomiała, wpatrując się w niego wielkimi okrągłymi oczami, jakby obezwładniał ją ten odgłos rytmiczny i jednostajny.

Czy kot domyślał się, jaką ma władzę nad papugą? Czy nie zerkał na nią, niby śpiąca z uczuciem miłej satysfakcji?

On nie tkwił w klatce. Jego pan dzielił z nim rozkoszne ciepło i otaczał go opieką.

Przychodziła taka chwila, kiedy papuga, zdenerwowana i zmęczona roztrząsaniem nierozwiązywalnego problemu, wpadała w złość. Jej pióra jeżyły się, szyja pęczniała, jakby wokół nie było krat, jakby lada moment miała rzucić się na wroga, i dom rozbrzmiewał przenikliwymi wrzaskami.

Małgorzata mawiała wówczas:

— Byłoby lepiej, gdybyś nas zostawił na chwilę...

„Nas" — to znaczy ją i papugę. Kot też dygotał, wiedząc, że zostanie zaniesiony do zimnej jadalni, gdzie Bouin rozsiądzie się w innym fotelu.

Małgorzata otwierała klatkę, przemawiając czułym głosem jak do kochanka łub dziecka. Nie musiała wyciągnąć ręki. Wracała znów na swoje miejsce. Ara spoglądała na zamknięte drzwi salonu, nasłuchiwała upewniając się, że nic już jej nie zagraża, że obu intruzów — człowieka i zwierzęcia — nie ma już tutaj i nie będą jej straszyć ani się z niej naigrawać.

Po czym wielkim susem rzucała się na poręcz któregoś krzesełka, bo nie umiała fruwać. W dwóch, trzech skokach docierała do swej pani i sadowiła się na jej ramieniu.

Małgorzata dalej robiła na drutach. Ich migotanie fascynowało papugę. Kiedy miała już dość przyglądania się, ocierała ogromny dziób najpierw o policzek kobiety, potem o gładką jeszcze skórę za uchem.

Twój kot

Minuty upływały. Emil w jadalni, Małgorzata w salonie czekali, aż marmurowy zegar wskaże, że nadeszła pora kolacji.

Wtedy gotowała jeszcze dla nich obojga.

Z początku Emil sam przyrządzał jedzenie dla kota. Kiedy zachorował na grypę i przeleżał trzy i dni w łóżku, skorzystała z tego, kupiła płucka u rzeźnika, pokroiła na kawałki, ugotowała, zmieszała z ryżem i jarzynami.

— Zjadł?

Zawahała się.

— Nie od razu...

— Ale w końcu zjadł?

— Tak.

Był niemal pewien, że skłamała. Nazajutrz miał trzydzieści dziewięć stopni gorączki i powtórzyła mu to samo. Następnego dnia, kiedy poszła po zakupy na ulicę Saint-Jacques, zszedł w szlafroku na dół i pod zlewem zobaczył nie tkniętą miskę z wczorajszą potrawą.

Kot idący tuż za nim popatrzył na niego z wyrzutem. Emil wymieszał jedzenie i podsunął miskę stworzeniu, które jeszcze przez chwilę nie mogło się zdecydować.

Małgorzata po powrocie znalazła pustą miskę. Kota nie było na parterze, leżał przytulony do nóg swego pana w sypialni na piętrze.

Tak spał każdej nocy.

— To niezdrowe — protestowała początkowo.

— Sypiał ze mną przez kilka lat i nie zachorowałem od tego.

— Jego chrapanie przeszkadza mi zasnąć.

— On nie chrapie. Mruczy. Można się przyzwyczaić. Ja przyzwyczaiłem się bez trudu.

Miała po części rację. Ten kot nie mruczał jak inne koty. Przypominało to raczej chrapanie, donośne jak u mężczyzny, który za dużo wypił.

Małgorzata, stojąc przy klatce, spoglądała na wypchaną

papugę i poruszała wargami, jakby przemawiała do niej czule.

Emil, wpółodwrócony do niej plecami, mógł wcale na nią nie patrzeć.

Znał tę komedię, tak jak i inne komedie odgrywane przez Małgorzatę. Uśmiechał się półgębkiem, nie odrywając wzroku od dogasających polan. Wreszcie wstał, wyjął z kosza dwie nowe szczapy i ułożył je starannie na palenisku, pomagając sobie pogrzebaczem.

* *

Z ulicy nie dochodziły już żadne odgłosy prócz plusku deszczu i szmeru wątłego strumyka wody w marmurowym basenie fontanny. W zaułku stało siedem domów, jeden przy drugim, wszystkie identyczne, każdy z bramą w środku, dwoma oknami salonu na lewo, a na prawo oknem jadalni, za którą mieściła się kuchnia. Sypialnie znajdowały się na piętrze.

Przed dwoma zaledwie laty zupełnie takie same domki oznaczone numerami parzystymi stały po drugiej stronie ulicy. Ogromna żelazna kuła puszczona w ruch przez niszczycieli zwaliła je jak tekturowe zabawki i teraz plac budowy, pełen dźwigów, belek, kruszarek, desek i taczek, stanowił cały krajobraz.

Trzech mieszkańców ulicy miało samochody. Nawet przy zapuszczonych wieczorem żaluzjach słyszało się, czy ktoś wychodzi z domu. I z zewnątrz widać było, w którym pokoju przebywają ludzie.

Rzadko tu zasłaniano okna i każdy mógł zobaczyć pary małżeńskie, rodziny przy stole, mężczyznę z wysokim czołem, który czytał siedząc w fotelu pod obrazem w ciemnozłotej ramie, dziecko, które ssało ołówek pochylone nad zeszytem, kobietę Obierającą jarzyny na jutrzejszy obiad.

Wszystko było miękkie, mdłe, przytłumione. Prawdę

mówiąc, fontannę słyszało się dopiero leżąc w łóżku, po zgaszeniu światła.

Dom Bouinów, który nazywano wciąż jeszcze domem Doise'ów, znajdował się na samym końcu, przy wysokim murze zamykającym zaułek. U podnóża muru stał posążek, amor z brązu trzymający rybę. Cienki strumyczek wody tryskający z jej pyszczka wpadał do marmurowej muszli.

Małgorzata wróciła na swoje miejsce przy kominku. Już nie robiła na drutach. Z okularami w srebrnej oprawie na nosie, przeglądała gazetę, którą podniosła z podłogi przy fotelu męża.

Czarne wskazówki zegara posuwały się powoli, drgając niepewnie co godzinę i co pół godziny.

Emil nie czytał, na nic nie patrzył, siedział z zamkniętymi oczami, może myśląc, może drzemiąc, zmieniając czasem położenie nóg zdrętwiałych od gorąca.

Dopiero kiedy zegar wybił siedem uderzeń, wstał powoli i nie patrząc na żonę ani na klatkę z wypchaną papugą, skierował się do drzwi.

Korytarz nie był oświetlony. Drzwi wejściowe z pustą skrzynką na listy znajdowały się po lewej stronie, schody prowadzące na piętro — po prawej. Przekręcił kontakt, zamknął za sobą jedne drzwi, otworzył drugie do jadalni, gdzie panował przejmujący chłód.

W domu zainstalowano centralne ogrzewanie, ale posługiwali się nim tylko w wielki mróz. Nikt już zresztą nie korzystał z jadalni. Oboje jadali w kuchni, gdzie piecyk gazowy wystarczał, żeby ogrzać powietrze.

Starannie i pedantycznie Bouin zgasił lampę w korytarzu, zamknął za sobą drzwi, przeszedł do kuchni i zapaliwszy tam światło, wyłączył je w jadalni.

Przejął od żony nawyki oszczędności, ale miał też dodatkowy powód, żeby tak postępować.

Wiedział, że ledwie zdążył wstać, a już Małgorzata zaczęła wiercić się w swoim fotelu. Nie chciała natychmiast iść w jego ślady. Chwilę jeszcze wołała odczekać. Kiedy z kolei sama podniesie się, wzdychając głęboko, jak za-

wsze przy przejściu do nowego etapu dnia, będzie musiała zgasić, lampę w salonie, zapalić w korytarzu, znowu zgasić, zamknąć za sobą po kolei wszystkie drzwi.

Dla każdego z nich te gesty stały się obrzędem i w jakimś stopniu nabrały wręcz mistycznego znaczenia.

W kuchni Emil Bouin wyjął z kieszeni klucz od kredensu z prawej strony, bo w kuchni były dwa kredensy. Ten na lewo, stary, z sosny australijskiej, stał tu już w czasach ojca Małgorzaty.

Ten drugi, pomalowany na biało, własność Bouina, został nabyty na bulwarze Barbes.

Wyjął z niego jeden kotlet, jedną cebulę, trzy ugotowane cykorie, które zostały z obiadu i które włożył do salaterki. W kredensie stało też pół butelki czerwonego wina; nalał sobie szklankę, nim jeszcze zajął się swoim masłem, swoją oliwą, swoim octem.

Zapalił gaz, rozpuścił kawałek masła pokroił, na plasterki cebulę i przyrumieniwszy ją rzucił na patelnię kotlet.

W drzwiach pojawiła się Małgorzata udająca, że go nie widzi, że w ogóle go tu nie ma, że nie czuje nawet przykrego dla niej zapachu smażonej cebuli.

Teraz ona z kolei odczepiła od paska klucz i otworzyła swój kredens.

Kuchnia była niewielka. Jej większą część zajmował stół. Musieli poruszać się ostrożnie, żeby nie natknąć się na siebie. Nabrali w tym takiej wprawy, że nigdy nie zdarzyło im się potrącić.

Nie używali już obrusa jak dawniej, wystarczała im cerata w kratkę, pokrywająca kuchenny stół.

Małgorzata również miała swoją butelkę. Nie z winem, ale ze wzmacniającą nalewką,; modną w początkach stulecia, którą ojciec kazał jej pić w południe i wieczorem, kiedy była jeszcze anemiczną dziewczynką.

Na nalepce w staroświeckim stylu widniały mocno już wyblakłe liście i napis ozdobnymi literami: „Kordiał alpejski."

Napełniła mały kieliszek od likieru i delektując się zwilżyła wargi.

Usmażył kotlet, odgrzał cykorię, po czym wyłożył wszystko na talerz i rozsiadł się w końcu stołu, gdzie postawił już swoje wino, swój chleb, swoją sałatę, swój ser i swoje masło.

Pozornie nie zwracając uwagi na to, co mąż je, Małgorzata szykowała sobie kolację po drugiej stronie stołu: plasterek szynki, dwa zimne kartofle, które leżały w lodówce owinięte w folię, i dwie cieniutkie i kromki chleba.

Była spóźniona w stosunku do męża. Zdarzało się nawet, że jedno z nich siadało do posiłku, kiedy drugie już go skończyło. Nie miało to znaczenia, gdyż i tak nie dostrzegali się nawzajem.

Jedli milcząc, jak przy wszystkich czynnościach.

Bouin był pewien, że żona myśli:

— Proszę, jeszcze ciągle jada mięso dwa razy dziennie! I na złość mnie smaży cebulę...

Była to po części prawda. Lubił cebulę, ale wcale nie miał na nią ochoty codziennie.

Czasem, żeby ją zirytować, przyrządzał skomplikowane potrawy, które wymagały godziny lub dwóch pitraszenia. Uważał, że ma to swój sens. Świadczy, że bynajmniej nie traci apetytu, nadal jest smakoszem i choć sam zajmuje się gotowaniem, wcale go to nie zniechęca.

Czasem przynosił rano flaki, których sam widok doprowadzał jego żonę do mdłości.

Ona ze swej strony, żeby zaznaczyć swoją wstrzemięźliwość, zadowalała się wieczorem plasterkiem szynki lub zimnej cielęciny, kęsem sera, czasem dorzucając jeden czy dwa kartofle pozostałe z obiadu.

To też miało swój sens. Wieloraki nawet. Przede wszystkim podkreślała w ten sposób, że on wydaje więcej pieniędzy na jedzenie niż ona. Po drugie, że brzydzi się używać po nim patelni. Kiedy była jej niezbędnie potrzebna, czekała, aż sam ją wyczyści, nawet jeśli musiała przez to jeść o wiele później..

Żuli wolno. Ona ledwie dostrzegalnymi ruchami szczęk, jak myszka, on przeciwnie, hałaśliwie popisując się swoim apetytem i przyjemnością, jaką mu sprawia posiłek.

— Widzisz! Ani trochę nie przeszkadza mi twoja obecność... Myślałaś, że mnie ukarzesz, zadręczysz... A ja mam się znakomicie i lubię sobie dogadzać...

Oczywiście ich dialog toczył się w milczeniu, ale znali się dostatecznie dobrze, żeby odgadnąć każde słowo, każdą intencję.

— Jesteś wulgarny... Jesz obrzydliwie i opychasz się cebulą jak ludzie z gminu... Ja zawsze jadłam jak ptaszek... Tak mnie ojciec nazywał... Swoim małym ptaszkiem... A mój pierwszy mąż, który był nie tylko muzykiem, ale i poetą, mówił do mnie „moja wątła gołąbeczko"...

Śmiała się. Nie głośno. W duszy. Ale i tak wiedział, że się śmieje.

— Umarł biedaczek... To on był wątły...

Musnęła spojrzeniem drugiego męża i wzrok jej stwardniał.

— I ty, choć niby taki krzepki, też umrzesz przede mną...

— Dawno już bym nie żył, gdybym ci dał wolną rękę... Pamiętasz tę butelkę w piwnicy?...

Teraz on z kolei śmiał się bezgłośnie. Co z tego, że byli sami w domu pogrążonym w ciszy, na którą skazali się nawzajem. I tak docinali sobie zjadliwie.

— Poczekaj.... Zaraz obrzydzę ci twoją kolację... Wyjął z kieszeni notesik, napisał trzy słowa, wyrwał kartkę i cisnął ją zręcznie na talerz żony. Bez zdziwienia rozwinęła bilecik:

Uwaga na masło

To przerastało jej odporność, zesztywniała. Nie udało jej się dotychczas przywyknąć do tego typu żarcików. Wiedziała, że masło nie jest zatrute, bo przecież trzymała je pod kluczem w swoim kredensie, ryzykując, że będzie miękkie czy nawet się roztopi.

Natychmiast co prawda dobierała go sobie, ale musiała przy tym zdobyć się na największy wysiłek.

Zemści się potem. Nie wiedziała jeszcze jak. Miała czas, żeby coś wymyślić. Oboje mieli dość wolnego czasu.

— Zapominasz, że jestem kobietą, a kobieta ma zawsze ostatnie słowo; i kobieta żyje od trzech do pięciu lat dłużej niż mężczyzna... Wystarczy policzyć wdowy... O ile jest ich więcej niż wdowców!...

On też był wdowcem, zanim się z nią ożenił, ale na skutek wypadku, to się nie liczy. Jego żonę przejechał autobus; na bulwarze Saint-Michel. Nie umarła I od razu. Bezwładna żyła potem dwa lata. Wówczas jeszcze pracował. Nie był na emeryturze. Kiedy wracał wieczorem, musiał ją oporządzić i zająć się gospodarstwem.

— Ta się dobrze na tobie odegrała, co?

Pustka. Milczenie. Deszcz na podwórku.

— Czasem zastanawiam się, czy w końcu nie miałeś tego dość i nie pozbyłeś się jej... Przy tej ilości lekarstw, jakie zażywała, na pewno łatwo ci poszło... Nie była taka podejrzliwa ani taka inteligentna jak ja... Ot, zwyczajna dziewucha z wielkimi czerwonymi dłońmi, która w młodości doiła krowy...

Małgorzata jej nie znała. Bouinowie mieszkali w Charenton. To Emil, kiedy jeszcze ze sobą rozmawiali, opowiadał jej, z czułością zresztą, o wielkich czerwonych dłoniach.

— Bawi mnie, że masz takie białe dłonie, cieniutkie przeguby, prawie przezroczystą skórę... Moja pierwsza żona była dziewczyną ze wsi, solidnie zbudowaną, o silnych czerwonych rękach...

Wyjął z kieszeni paczkę włoskich cygar, nieforemnych, bardzo. czarnych, bardzo mocnych, które nazywano gwoździami do trumny.

Zapalił jedno, dmuchnął w powietrze cierpkim dymem, zaczął dłubać w zębach zapałką.

— Dobrze ci tak, stara... Masz za swoją delikatność...

— Poczekaj... Też się doigrasz...

Wypił wino ze szklanki, opróżnił do dna butelkę, posiedział chwilę bez ruchu, po czym podniósł się ciężko, podszedł do zlewu i puścił strumień ciepłej wody.

Podczas gdy Małgorzata drobnymi kęsami dojadała kolację, Emil zmywał po sobie naczynia, czyścił patelnię najpierw kawałkiem papieru, potem ściereczką, starannie zawijał w starą gazetę kość i tłuszcz z kotleta, żeby wrzucić to do pojemnika na śmieci pod schodami. Oczywiście nie zapomniał o zamknięciu na klucz swojego kredensu.

Przebrnął więc przez jeszcze jeden etap dnia i rozpocznie ostatni, kiedy po powrocie; do salonu przekręci gałkę telewizora. Na pierwszym kanale szły wiadomości. Zmienił pozycję fotela. Głownie na palenisku już prawie dogasały, ale nie trzeba było podtrzymywać ognia, bo w pokoju panowało miłe ciepło.

Teraz ona z kolei myła naczynia. Słyszał, jak krząta się po kuchni. Usiadła koło niego, ale nie od razu obróciła fotel w stronę telewizora. Wiadomości jej nie interesowały.

— To tylko brudy polityczne, katastrofy i zbrodnie — mawiała dawniej.

Znów zabrała się do swojej wiecznej roboty na drutach. Kiedy zapowiedziano festiwal piosenki, przysunęła fotel, najpierw nieznacznie, potem trochę bliżej i jeszcze bliżej. .Nie chciała uchodzić za entuzjastkę takich głupstw. Ale zdarzało się, że ocierała oczy chusteczką słuchając piosenki smutniejszej i bardziej sentymentalnej niż inne.

Bouin wstał, żeby przenieść pojemnik na śmieci spod schodów na brzeg chodnika. Padał lodowaty deszcz, zaułek był opustoszały mimo rzędu siedmiu domów, paru oświetlonych okien, trzech samochodów, które czekały na jutrzejszy ranek, i tego strasznego placu budowy, gdzie obok przepastnych dołów zaczęły już wznosić się mury.

Ryba z fontanny ciągłe tryskała wodą do basenu w kształcie muszli, amor z brązu ociekał deszczem.

Wróciwszy zamknął drzwi na klucz, zasunął zasuwę. Potem, jak co wieczór, spuścił żaluzje, najpierw w jadalni, potem w salonie, gdzie telewizor nadal był włączony.

W srebrnym odblasku telewizora dostrzegł od razu, że żona ma w ustach termometr.

Wymyśliła! To była jej drobna zemsta, jej odwet za historię z masłem. Wyobraża sobie, że wzbudzi w nim niepokój udając chorobę!

Dawniej mówiła o swoich słabych płucach, o częstych bronchitach i przy najlżejszym powiewie otulała się w szal.

— Możesz sobie wykitować, staruszko... .

Nie tylko pomyślał. Napisał to na skrawku papieru, który rzucił jej na kolana, kiedy się tego najmniej spodziewała. Przeczytała, wyjęła z ust termometr, spojrzała na męża z politowaniem, wygrzebała z kieszeni karteczkę i z kolei sama napisała:

Już jesteś zielonkawy

Nie rzuciła karteczki, tylko położyła ją na stole. Niech sam się potrudzi. Ona nie zaopatrzyła się w notesik z perforowanymi kartkami. Byłe jaki kawałek papieru, nawet skrawek gazety, całkowicie jej wystarczał.

Nie chciał wstać od razu. Hamując ciekawość, odczekał możliwie najdłużej.

Ale znalazła sposób, żeby przyspieszyć jego decyzję. Po prostu podeszła do telewizora i przestawiła na drugi kanał. Nie znosił, kiedy narzucano mu inny program niż ten, który sam wybrał.

Toteż ledwie wróciła na swój fotel, podniósł się, zmienił kanał i po drodze niby przypadkiem sięgnął po karteczkę.

Zielonkawy! Roześmiał się. Śmiał się z umyślną ostentacją. Ale nie był to szczery śmiech z całego serca, bo istotnie nie miał dobrej cery. Stwierdzał to co rano przy goleniu.

Najpierw obwiniał światło w łazience wykładanej zmatowiałymi kafelkami. Przejrzał się w innym lustrze. Schudł, to prawda. Starzejąc się lepiej jest chudnąć niż tyć. Przeczytał w gazecie, że towarzystwa ubezpieczeniowe domagają się od grubasów wyższych opłat.

Nie umiał jednak całkiem przywyknąć do siebie w

obecnej postaci. Jest wysokim mężczyzną. Niegdyś był barczysty, tęgi, krzepki.

Na budowie nosił olbrzymie buty z cholewami, kurtkę z czarnej skóry latem i zimą. Jadł i pil, co popadnie, nie troszcząc się o swój żołądek. Przez ponad pięćdziesiąt lat ani razu nie przyszło mu do głowy, żeby się zważyć.

Teraz miał uczucie, że ubranie wisi na jego wychudzonym ciele, i czasem łapały go j jakieś bóle, to w nodze, to znów w kolanie, w piersiach lub w karku.

Miał siedemdziesiąt trzy lata: i choć tak wysechł, bynajmniej nie uważał się za starca.

A czy ona myślała o sobie jako o starej kobiecie? Kiedy rozbierał się, patrzyła na niego z ironią, nie zdając sobie sprawy, że sama jest o wiele bardziej zniszczona.

Jeszcze jedna z ich zabaw! Przystąpią do niej później, około dziesiątej, już w sypialni. Na pierwszym piętrze były trzy pokoje. W wieczór poślubny wydawało się naturalne, że będą spać razem w dawnej sypialni rodziców, którą Małgorzata zajmowała z pierwszym mężem.

Zachowała stare łóżko z orzecha, piernat i ogromną pierzynę. Bouin próbował do tego przywyknąć. Po paru dniach dał jednak za wygraną, zwłaszcza że żona nie pozwalała zostawiać otwartego okna.

Nie zdobył^ się aż na zmianę pokoju, sprowadził tylko własne łóżko i ustawił je obok łóżka żony.

Ściany pokryte były tapetą w drobne kwiatuszki. Z początku wisiały na nich tylko dwie powiększone fotografie w owalnych ramach — portret ojca Małgorzaty, Sebastiana Doise, i jej matki, która umarła na gruźlicę, kiedy córka była jeszcze malutka.

Później, gdy już przestali ze sobą rozmawiać, Małgorzata obok zdjęcia ojca zawiesiła portret swego pierwszego męża, Fryderyka Charmois. Sądząc z fotografii, był to mężczyzna drobny, wytworny, o wyglądzie poety, z cienkim wąsikiem i przyciętą w szpic bródką. Był pierwszym skrzypkiem Opery, a w ciągu dnia udzielał lekcji muzyki paru uczniom.

W niespełna tydzień potem Bouin odpowiedział na wy-

zwanie zawieszając na swoim łóżkiem portret pierwszej żony.

W ten sposób dogryzali sobie nawzajem, tak jak szydzili z siebie podczas rozbierania się. Mogli przenieść się każde do innego pokoju, ale woleli nie naruszać trybu życia z pierwszych lat po ślubie. Bouin prawie zawsze rozbierał się pierwszy, starając się nie narażać na szwank swojej wstydliwości. Musiała jednak nadejść chwila, kiedy obnażał pierś, coraz wyraźniej rysujące się żebra, łydki i owłosione uda ze zwiotczałymi mięśniami.

Wiedział, że go podgląda i cieszy się widząc, jak coraz bardziej dziadzieje, ale w chwilę później nadchodziła jego kolej, by zerkać ukradkiem na jej biust wyschnięty i płaski, obwisłe pośladki i obrzmiałe kostki u nóg.

— Ładna z ciebie dziewczynka!...

— A ty? Myślisz, że jesteś piękny?...

Nie mówili tego głośno. Mierzyli się wzrokiem w milczeniu. Po kolei szli myć zęby, gdyż łazienka była jedynym pomieszczeniem w domu, w którym nigdy nie przebywali oboje na raz. Kiedy jedno z nich w niej się zamykało, rozlegał się znajomy dźwięk zasuwanego rygielka.

Bouin kładł się ciężko do łóżka, gasił nocną lampkę nad głową. Jego żona wślizgiwała się delikatnie pod pierzynę i wiedział, że w oczekiwaniu snu długo będzie leżała z otwartymi oczami.

Sam zasypiał niemal natychmiast. Minął jeszcze jeden etap dnia, już ostatni. Jutro nastanie nowy dzień, podobny do tego, który się skończył.

Przyjemnie było spać, lubił zwłaszcza, jak mu się śniło, że jest człowiekiem bez wieku albo że ale jest stary, Widywał niekiedy krajobrazy takie jak niegdyś, żywe, wibrujące barwami, słodko pachnące. Czasem biegł do utraty tchu w poszukiwaniu źródła, którego szum słyszał.

Nigdy w jego snach nie pojawiała się Małgorzata, rzadko pierwsza żona, a i to tylko z okresu przed ślubem.

Czy Małgorzacie też się coś śniło? Jej pierwszy mąż? Ojciec? Owa epoka, kiedy nosiła słomkowe kapelusze

z szerokim rondem i spacerowała po wybrzeżu Marny osłaniając się parasolką?

Co go to może obchodzić? Niech sobie śni o pierwszym mężu, panu muzykancie, i o swoim dzieciństwie, jeśli ma na to ochotę.

On na to gwiżdże.

ROZDZIAŁ DRUGI

Obudził się o szóstej, jak codziennie, jak budził siej przez całe życie, nigdy nie posługując się budzikiem. Jego ojciec też wstawał wcześnie. Był murarzem w czasach, kiedy do budowania domów nie używano jeszcze dźwigów, a mury stawiano cegła za cegłą, w miarę jak wznoszono rusztowania.

Mieszkali w Charenton w małym domku, w pawilonie, jak wówczas mówiono, tuż za śluzą łączącą kanał Marny z Sekwaną. Mieszkańcy dzielnicy myśleli, że ojciec ma siwe włosy, bo zawsze były przyprószone gipsem łub zaprawą murarską.

W pawilonie nie było łazienki. Myli się na podwórku przy pompie, zimą czy latem do pasa rozebrani, a raz na tydzień, w sobotę, szli do łaźni publicznej.

Emil także był murarzem. Najpierw terminował, od czternastego roku życia, i z początku jego praca polegała głównie na bieganiu po niezliczoną ilość butelek czerwonego wina dla całej załogi.

Uczęszczał do wieczorowej szkoły. Mało sypiał. Był już żonaty, kiedy zdał egzamin na majstra i znacznie później na inspektora pracy w Zarządzie Dróg.

Jego pierwsza żona nazywała się Angela — Angela Delige. Pochodziła ze wsi w okolicach Hawru i kiedy miała szesnaście lat, rodzice wysłali ją do Paryża, tak jak poprzednio jej cztery starsze siostry. Była najpierw służącą u rodziny z małymi dziećmi, a potem sprzedawczynią w wędliniarni.

Rzeczywiście dawniej doiła krowy i miała wielkie czerwone dłonie.

Wynajęli mieszkanie w pobliżu śluzy, przy ulicy de Charenton, i w tym okresie Bouin każdego ranka przed pójściem do pracy wstępował jeszcze do rodziców, żeby ich uściskać.

Przy ulicy de Charenton też nie mieli łazienki. Nadal chodzili do publicznej łaźni, gdzie korytarze wypełniała mgła przesiąknięta zapachem ciała ludzkiego.

- Dlaczego nie kąpiesz się w wannie?

Tykanie przychodziło obojgu z trudem. Miał sześćdziesiąt pięć lat, kiedy ożenił się po raz drugi, a ona sześćdziesiąt trzy. Byli wobec siebie niezdarni, bardziej onieśmieleni niż młodziutka para zakochanych.

Czy byli parą zakochanych?

— Wolę prysznic...

Zanurzony w ciepłej wodzie odczuwał niepokój. Rozleniwienie, które ogarniało jego członki, nie wydawało mu się naturalne. Wolał namydlić się pod tuszem, a potem długo spłukiwać nagie ciało pod strumieniem zimnej wody.

— Ciągle będziesz tak wcześnie wstawać, choć przez cały dzień nie masz nic do roboty?

Z łóżkiem było trochę tak jak z wanną. Wieczorem czuł się w nim dobrze i zapadał w sen. O szóstej rano, a latem często jeszcze wcześniej, odczuwał potrzebę powrotu do życia. Żeby sprawić jej przyjemność, starał się dłużej wylegiwać w pościeli, ale wywoływało to ucisk w sercu.

Wstawał po cichutku, przekradał się do łazienki zamykając za sobą drzwi i nie zapominając zasunąć rygielka. Po prysznicu, ogolony, naciągał stare ;aksamitne za luźne spodnie, flanelową koszulę i schodził w bamboszach, aby nie robić hałasu.

Był przekonany, że Małgorzata też się obudziła, choć udaje, że śpi, i szpieguje go, czujnie nasłuchując szmerów.

Na dole przyrządzał sobie duży kubek kawy. Upewniwszy się, że ma klucz w kieszeni, wychodził na ulicą.

O tej porze roku w zaułku było jeszcze ciemno i tylko gazowa latarnia rzucała żółtawe światło na domy i plac budowy.

Przez wiele lat nie odstępował go kot, sunąc tuż za nim. uroczyście, jakby ten spacer po opustoszałych ulicach był dla niego ważnym obrzędem, rodzajem mszy, którą obaj celebrowali w milczeniu.

Na ulicy de Charenton Bouini nie miał kota. Przez ostatnie dwa łata życia pierwszej żony, kiedy wypadek autobusowy uczynił z niej kalekę, nie miał czasu na spacery. Zajmował się gospodarstwem, sprzątał, prał, froterował, szykował dla Angeli śniadanie.

Przed wypadkiem co najmniej pół godziny spędzał na przechadzce po ulicach nadbrzeżnych, przyglądając się przycumowanym, galarom, beczkom, z winem przeznaczonym dla poważnego hurtownika, holownikom, które ciągnęły po kilka barek z piaskiem wydobytym powyżej Corbeil.

Teraz trzymał się niezmiennie tej samej trasy. Zaułek wychodził na ulicę de la Santé, w pół drogi między więzieniem a szpitalem Cochin. Dalej znajdowała się klinika psychiatryczna, którą mijał, nim skręcił w ulicę du Faubourg-Saint-Jacques.

Na rogu ulicy de la Tombe-Issoire i placu Saint-Jacques stał kościół Świętego Dominika, gdzie Małgorzata chodziła na mszę co niedzielę, a latem niekiedy i w dzień powszedni.

Przez pewien czas co rano przystępowała do komunii. Była wtedy bardzo zaprzyjaźniona z proboszczem, któremu pomagała ubierać ołtarze i układać kwiaty przed obrazem Matki Boskiej.

Co między nimi zaszło? Dlaczego się poróżnili? W każdym razie przestała go widywać i zajmować się sprawami parafii, przeniosła się też z osobnego klęcznika na wyplatane krzesło w głębi kościoła.

Bouin — nie licząc dnia własnego ślubu — wszedł tam tylko raz jeden przez ciekawość. Był ochrzczony. Przystąpił do pierwszej komunii. Ale w jego rodzinie nikt nie

chodził na mszę, co zresztą nie przeszkodziło, by zarówno matce, jak i ojcu wyprawił pogrzeb kościelny.

Miał tylko jedną siostrę, która początkowo źle się wykierowała. Przez wiele lat nie było od niej żadnej wiadomości. Nie wiedział nawet, czy żyje. Aż wreszcie pewnego dnia dotarł do niego list, który szukał go pod różnymi adresami i na którym widniały adnotacje różnych listonoszy. Siostra zawiadamiała go, że wyszła za młynarza w pobliżu Tours, ma dwoje dzieci, duży dom na wybrzeżu Loary i amerykański samochód.

Do spotkania nie doszło. Napisał jej tylko, że jest wdowcem i wkrótce przejdzie na emeryturę.

Skręcał na prawo na bulwar de Port-Royal i jeszcze raz da prawo w ulicę de la Santé, tak samo pustą jak poprzednio.

W ciągu piętnastominutowego spaceru mijał szpital, więzienie, dom wariatów, szkołę pielęgniarek, kościół i remizę strażacką. Czy nie była to suma ludzkiej egzystencji? Brakło tylko cmentarza, też zresztą znajdującego .się w pobliżu.

Kiedy wracał, jeden z sąsiadów, Wiktor Macri, majestatycznym, krokiem wychodził spod numeru trzeciego i uruchamiał wóz. Wymieniali powitania. Samochód wypuszczał smugę dymu, zanim motor nabrał stopniowo właściwego rytmu, i Macri ruszał do wielkiego motelu na prawym brzegu Sekwany, gdzie był portierem.

Oboje z Małgorzatą znali wszystkich mieszkańców zaułka. Małgorzata była właścicielką rzędu domów po jednej stronie ulicy, odkąd jej ojciec sprzedał parę lat przed śmiercią domy po drugiej stronie, gdzie teraz budowano wielką kamienicę czynszową.

Emil Bouin wyciągał klucz z kieszeni. Choć upłynęły trzy lata, jeszcze odczuwał brak swego kota i prawie co rano miał moment wahania, jakby dawnym zwyczajem chciał go przepuścić przodem.

Słyszał kroki na pierwszym piętrze, wodę lejącą się do wanny. Mógł już podnieść żaluzje. Wkrótce mrok na dworze przerzedzi się, zblednie światło gazowej latarni

i rozlegną się odgłosy zatrzaskiwanych drzwi, a zaraz potem kroki zmierzające w stronę ulicy de la Santé.

Nie ciążyła mu samotność wczesnego poranka ani pustka dokoła. Przywykł przez całe życie wykonywać te same gesty o tej samej porze.

Niektóre gesty, niektóre pory ulegały zmianie. Przeżywał różne okresy, ale każdy z nich cechował ustalony rytm, którego zakłócenia unikał.

O tej godzinie, tak obecnie,; jak wtedy, kiedy gotował się do wyjścia na plac budowy, zasiadał do czerwonego wina i dużej bułki z kiełbasą.

Jego ojciec, zanim wyszedł do pracy, wcinał miskę zupy, befsztyk lub ragout, co wcale nie przeszkadzało, że w chlebaku musiał mieć zawsze coś do przegryzienia.

Matka była niska, dosyć tęga. Widywał ją przeważnie przy praniu bielizny, którą potem rozwieszała na podwórku. Nie istniały jeszcze pralki mechaniczne, a gdyby istniały, byłyby za drogie. I na pewno matka odnosiłaby się do nich nieufnie, tak jak nie ufała niczemu, co miało związek z elektrycznością.

Nastawiała bieliznę do gotowania w ogromnym powleczonym cynkiem kotle i musiała zabierać się do tego bardzo wcześnie, żeby mąż lub syn zdążyli przed wyjściem pomóc jej zdjąć go z kuchni.

Były dni prasowania, wieczory przeznaczone na cerowanie skarpetek, popołudnia, kiedy czyściła miedziane rondle, tak że tydzień stanowił pasmo różnorodnych obrazów i zapachów.

Ciekawe, że z wiekiem stał się niemal niewrażliwy na zapachy. Na ulice też patrzał innym wzrokiem niż ongiś, kiedy stanowiły dla niego widowisko ciągle zmieniające się, którym nigdy się nie nudził.

Wówczas, gdy zanurzał się w tłum, miał poczucie, że jest cząstką całości, że uczestniczy w swoistej symfonii, której każda nuta, każda barwna plama, każdy powiew ciepły czy zimny urzeka i zachwyca.

Nie umiałby powiedzieć, kiedy nastąpiła zmiana. Niewątpliwie stopniowo, w miarę jak starzał się nie spo-

strzegając tego. Bo wcale nie spostrzegł, że się starzeje. Nic czuł się stary. Ogarniało go zdumienie, kiedy pomyślał o swoich latach. Nie zmądrzał ani nie zobojętniał. Zdarzały mu się dziecinne wyskoki, myśli, odruchy, wybryki urwisa, jakim był niegdyś.

Jedząc przeglądał pobieżnie poranną gazetę, którą kupił na placu Saint-Jacques. Małgorzata zwłóczyła długo na górze przy zabiegach toaletowych. Przed czterema laty, kiedy jeszcze ze sobą rozmawiali, zwrócił jej uwagę, że niebezpiecznie jest kąpać się w łazience zamkniętej na zasuwkę, bo może jej się zrobić słabo i nikt o tym nic będzie wiedział.

Z przyzwyczajenia więc, nawet już po wypowiedzeniu wojny, nadstawiał ucha, kiedy leżała w wannie. Nie było to uciążliwe, jako że łazienka znajdowała się nad kuchnia. Tędy, na prawo od jednego z kredensów, biegł przewód dudniący głośno za każdym razem, kiedy woda spływała, z opróżniającej się wanny.

Wypijał dwie szklanki wina, nie kieliszki, grube szklanki, w jakich piją wino na wsi. Trzecią wychyli potem, kiedy wróci z zakupów.

Budzik wskazywał piętnaście po siódmej. Rano miał zawsze wrażenie, że tyka głośniej niż o innych porach dnia. Zauważył też, że jego tykanie jest szybsze niż zegara w salonie, i zastanawiał się dlaczego, skoro wskazują tę samą godzinę.

Zapalał pierwsze cygaro i schodził do piwnicy oświetlonej słabiutką żarówką wiszącą u sufitu. Przez kwadrans mniej więcej rąbał drzewo, bo oszczędniej było kupować większe polana niż szczapy dostosowane do wielkości kominka.

Napełniał koszyk, zanosił go do salonu i pedantycznie przystępował dc rozpalania ognia, słuchając jednocześnie przenośnego radia nadającego o tej porze wiadomości.

W gruncie rzeczy wcale go te wiadomości nie interesowały — był to jeszcze jeden stały motyw znaczący przebieg dnia. Słyszał, jak. Małgorzata wchodzi do ja-

dalni, potem do kuchni. Na dworze padał deszcz, spowijając wszystko w białawą mgłą.

Nie musiał jej pilnować, przecież zamykał wiktuały w swoim kredensie. Teraz ona z kolei przyrządzała sobie kawę bezkofeinową, bo była przekonana, że jest chora na serce.

A może wymyśliła to sobie jako pretekst do skarg i przybierania cierpiętniczych min?

Piła kawę z mlekiem, zjadała trzy lub cztery sucharki posmarowane masłem i nie miała wcale naczyń do mycia.

W kominku ogień zaczynał już buzować. Choć dzień był jeszcze zamglony i szary, Bouin gasił lampy i wracał na pierwsze piętro, gdzie miał jeszcze posłać łóżko. Robił to skrupulatnie, nie zostawiając żadnej fałdki na prześcieradle, kołdrze czy pikowanej kapie.

Małgorzata też już zdążyła wejść na górę. Nie witali się ze sobą, nie wymieniali nawet spojrzenia. Każde dreptało wokół własnych drobnych spraw, zerkając na drugie ukradkiem, jeśli tylko nie czuło się obserwowane.

Małgorzata postarzała się. Kiedy ją poznał, nie była już też, rzecz jasna, młodą kobietą, ale osobą w pewnym wieku, dość wątłą, co nawet przydawało jej dystynkcji.

Miała świeżą cerę, której różowość odbijała od jedwabistej siwizny włosów, i życzliwy, pełen słodyczy wyraz twarzy.

Sklepikarze przy ulicy Saint-Jacques uwielbiali ją i darzyli szacunkiem. Nie należała do ich środowiska i jej świat był inny. W tej dzielnicy, gdzie jej ojciec wybudował kiedyś domy w zaułku, który nosił jego nazwisko, uważana była w pewnym sensie za arystokratkę.

Przez przeszło trzydzieści lat mieszkała tu z człowiekiem równie jak ona wytwornym, muzykiem, artystą, pierwszym skrzypkiem Opery, którego widywano wieczorem we fraku pod czarnym płaszczem i który długo nie rezygnował z cylindra jako nakrycia głowy. Jego też cechował uśmiech łagodny i roztargniony i owa grzeczność, zarazem nieśmiała i odrobinę protekcjonalna.

To taki dobry nauczyciel.., Jeden z jego uczniów właśnie w tym roku zdobył pierwszą nagrodę w Konserwatorium...

W owym okresie w zaułku całymi godzinami słychać było te same frazy muzyczne powtarzane na skrzypcach, którym profesor akompaniował na fortepianie.

Fortepian stał nadal w kącie salonu, z mnóstwem fotografii i kruchych drobiazgów na wieku. Małgorzata grywała na nim, póki żył pierwszy mąż, a po powrocie z pogrzebu postanowiła, że nigdy już nie dotknie klawiszy.

Bouin z początku nalegał. Odpowiadała mu z łagodnym uporem:

- Nie, Emilu... To był jego fortepian. Jeszcze w nim jakby trochę żyje...

Kiedyś podniósł wieko, pobębnił jednym palcem po klawiszach; zbiegła spiesznie z góry, oburzona, niezdolna pojąć, jak mógł zdobyć się na taką zuchwałość.

W jej oczach fortepian stanowił cząstkę zmarłego męża. Była to święta relikwia, tak jak skrzypce zamknięte w ściennej szafie. Tak, to prawda, inny mężczyzna dzieli z nią teraz sypialnię, w której Fryderyk Charmois spał ponad trzydzieści lat. Myje się w tej samej łazience. Z początku próbowali współżyć ze sobą tak samo intymnie. Nie udało im się. Onieśmieleni, mieli uczucie, że w tym wieku gesty, jakie nieporadnie wykonują, są śmieszne, że są parodią uścisków miłosnych.

Kto wie? W pojęciu Małgorzaty było to być może świętokradztwo. Pamiętał, jak wyglądała z zamkniętymi oczami, z wargami mocno zaciśniętymi. Zrezygnowana. Skoro pobrali się, nowy mąż ma prawo rozporządzać jej ciałem.

Alę ciało było sztywne, stawiało opór.

— Dlaczego przerwałeś, jeśli masz ochotę?

— A ty?

— Nie wiem.

Może kiedyś nawet chciała. Może zasypiając wieczorem marzyła czasem o doznawanych dawniej rozkoszach.

W momencie kiedy miała ich zażyć, cała jej istota buntowała się.

— Przyzwyczaimy się.

Próbowali wielokrotnie.

— Myślałem, że mnie lubisz...

— Bardzo cię lubię... Wybacz mi...

— Co ci przeszkadza? '

Powtarzała:

— Przebacz mi... To nie moja wina...

I krople łez drżały na jej rzęsach.

Zamiast się ułożyć, sprawy przybierały coraz gorszy obrót. Ledwie zbliżał się do łóżka z orzechowego drzewa, widział, jak Małgorzata cofa się kurczowo całym ciałem, a jej wzrok robi się surowy, wręcz nienawistny.

Był samcem, brutalem, który myśli tylko o własnej przyjemności. Cierpiała już przez jego ciężki chód, przez hałaśliwy sposób poruszania się po domu, dawniej tak cichym i wytwornym. Nie mogła przywyknąć do jego cygar i na początku wychodził za próg, żeby zapalić.

Kot napawał ją strachem niemal zabobonnym.

Od pierwszego dnia stworzenie wpatrywało się w nią uporczywie, jakby starało się zrozumieć, skąd w ich życiu wzięła się ta obca osoba.

Bywało i tak, że kot łaził w ślad za nią po całym domu, jakby chciał się upewnić, że nie jest dla nich niebezpieczna, a jego złote, tajemnicze oczy zdawały się ciągle o coś pytać.

Kot sypiał' na łóżku Bouina, przytulony do jego nóg, i zawsze czekał z zaśnięciem, aż ta obca istota, śpiąca na sąsiednim łóżku, całkiem znieruchomieje.

W tym okresie Małgorzata sama zajmowała się gospodarstwem.

— Nie wybierasz się na spacer?

Nie lubiła, jak kręcił się po domu podczas sprzątania. Brał więc czapkę i wędrował ulicami, czasem bardzo daleko, na przykład przemierzał swoim równym krokiem wybrzeże Sekwany, niekiedy aż do dzielnicy, w której dawniej mieszkał.

Nie był ani szczęśliwy, ani nieszczęśliwy. Zatrzymywał się na szklankę czerwonego wina w bistro, jak niegdyś podczas przerwy w pracy, kiedy nadzorował budowę.

Różnica polegała na tym, że wówczas otaczali go ludzie sami jak on, zakurzeni i ubłoceni. Rozmawiano donośnym głosem, śmiano się, trącano się szklankami.

- Teraz ja stawiam kolejkę, Alicjo...

Przez długi czas pracował w samym centrum miasta, kiedy przedłużano bulwar Haussmanna, łącząc go z Wielkimi Bulwarami. Brał też udział w budowie bulwarów zewnętrznych i burzeniu starych murów obronnych. Wszędzie łatwo było o miły lokalik, gdzie ludzie spotykali się parę razy dziennie. Posilali się tam, wyciągając wiktuały z chlebaków. Jego pierwsza żona, Angela, uważała ten tryb życia za całkiem normalny. Nie mieli dzieci, nie próbowali dowiedzieć się z czyjej winy — jego czy jej.

Angela nie była dystyngowana. Była wesoła i hałaśliwa. Uwielbiała kino. Sama chodziła na popołudniowe seanse i często wieczorem domagała się, żeby obejrzał z nią drugi film. W sobotę szli potańczyć.

Latem w niedzielę jeździli pociągiem do pobliskich wsi, jedli obiad na powietrzu, spotykali sympatyczne pary, z którymi razem popijali.

Było im gorąco. Pocili się. Kąpali się w rzece. Angela nie umiała pływać i pluskała się przy brzegu.

Wracali do domu z dziwnym smakiem w ustach, smakiem smażonych rybek, zgniecionych liści, mułu rzecznego. W głowach im się trochę kręciło, bo wino było wytrawne. Czuł dłoń żony uczepioną jego ramienia, coraz cięższą, w miarę jak zbliżali się do domu.

— Ledwo żyję...

Bawiło ją, że jest zawiana.

— Tobie nie jest miękko w nogach, co?

— Nie.

— Założę się, że będzie ci się chciało mnie popieścić...

— Czemu nie...

— Też mam na to ochotę, ale nie wiem, czy mi starczy energii... Tym gorzej dla ciebie, jeśli zasnę...

Nic nie było ważne. Nic nie było dramatem ani katastrofą. Zdarzało się, że posiłek nie był gotowy, łóżko nie zasłane.

— Wyobraź sobie, że spałam prawie cały dzień. To trochę twoja wina... Gdybyś mnie nie męczył do drugiej rano...

Małgorzata uznałaby ją za osobę wulgarną. Była wulgarna w dobry, zdrowy sposób, tak samo jak on.

— Zdradzałeś mnie kiedyś, powiedz?

— Przytrafiło się parę razy...

— I dalej ci się przytrafia?

— Od czasu do czasu, kiedy nadarzy się okazja... Zawsze jakieś smarkate kręcą się wokół budowy...

— Nie wstydzisz się z tego korzystać?

— Nie.

— I czujesz z nimi to samo co ze mną?

— Niezupełnie to samo...

— Dlaczego?

— Bo ciebie kocham... Z innymi to tak jak wypić kufelek piwa...

— Gdyby wiedziały, co o nich myślisz... .

— Nic ich to nie obchodzi. Przechodzą z rąk do rąk...

Kto wie, może Angela też go zdradzała. Wolał o tym nie myśleć, ale nie wykluczał tej możliwości. Miała wolne popołudnia. Chodziła do centrum, biegała po wytwornych sklepach, nie po to, żeby coś kupić, na to nie miała pieniędzy, ale dla przyjemności. Pierwszy z brzegu afisz kinowy kusił ją i zasiadała w ciemnej sali.

Czy żaden mężczyzna nie próbował wtedy szczęścia? Niekoniecznie jeden z tych starców, u których jest to czymś w rodzaju choroby, ale jakiś młody, któremu akurat trafił się wolny dzień?

— A ty nigdy mnie nie zdradziłaś?

— Dlaczego o to pytasz?

— Bo ty też mnie zapytałaś.

— I wyobrażasz sobie, że ci to samo odpowiem? Nie jesteś zazdrosny?

— Może i jestem... A może nie...

— Po co by mi to było? Ty mi wystarczasz, no nie? To nie była odpowiedź. Myślał o tym czasem marszcząc brwi, ale nie trawił go niepokój.

Może tak, może nie, w każdym razie była dobrą dziewczyną, która robiła wszystko, co mogła, żeby dać mu szczęście.

I był szczęśliwy. Nie miał ochoty na żadne zmiany. Odpowiadał mu ten tryb życia. Może kiedyś w przyszłości kupiłby wóz na niedzielne przejażdżki z Angelą, żeby nie tłoczyć się w pociągu lub autobusie.

Nie przewidział, że u schyłku jesiennego dnia jego żona wpadnie pod autobus na bulwarze Saint-Micheł ani tym bardziej że kiedy przejdzie na emeryturę mając sześćdziesiąt pięć lat, ożeni się po raz drugi z kobietą niewiele młodszą.

* *

O dziesiątej kończył swoją część prac domowych. Nie żądała tego od niego. On sam nazajutrz po dniu, w którym przestali ze sobą rozmawiać, postanowił nic już jej nie zawdzięczać. Nie ostygli jeszcze wówczas z gniewu. Dość często zdarzało im się mamrotać coś pod nosem. I każde uważało siebie za ofiarę, a współmałżonka za potwora.

Z wściekłością niemal zabrał się do gruntownych porządków w salonie, w jadalni i nawet w kuchni, gdzie umył podłogę wodą z mydlinami, klęcząc, bo pamiętał, że tak robiła jego matka.

Ponieważ mieli tylko jeden odkurzacz, musiał czekać, aż ucichnie jego szum w sypialni, dziedzinie Małgorzaty, żeby po niego pójść. Na dobrą sprawę powinna by znieść go do połowy schodów.

Raz w tygodniu pastował posadzkę w salonie, nie po to, aby sprawić przyjemność Małgorzacie, ale dlatego, że lubił zapach pasty.

Potem zaczynała się zabawa. To on ją rozpoczął. Nie podobało mu się to określenie. Małgorzacie chyba też nie. Ale jak w myśli nazywała mecz, który rozgrywali każdego ranka?

Zabawa sugeruje nastrój pewnej wesołości, jaki ogarniał ich nad wyraz rzadko, każde z osobna, co oboje starali się ukryć za wszelką cenę.

Komuś, kto by im się przyglądał, ich postępowanie wydawałoby się bardziej tragiczne czy dziwaczne niż śmieszne.

Tego ranka Małgorzata nie zapomniała o komedii z termometrem, którą zaczęła poprzedniego wieczoru. Trzymała go w ustach, kiedy Emil. wszedł na górę po odkurzacz. Na włosy, jak co rano, narzuciła bladoniebieską chusteczkę. Czy naprawdę miała niezdrową cerę? Czy tylko w świetle deszczowego i mglistego dnia? Powietrze za oknem było jakby żółtawe.

A gdyby rzeczywiście zachorowała? Dotychczas nigdy nie była chora, mimo ciągłych narzekań. Jemu też nic na serio nie dolegało i zdawało się pewne, że oboje dożyją późnej starości.

Małgorzata na pierwszym piętrze, Emil na parterze czekali teraz na to, które z nich wyjdzie pierwsze. Włożył już brązowy płaszcz nieprzemakalny i na trzewiki naciągnął kalosze. Wystarczyło sięgnąć po czapkę.

Ona też na pewno była już gotowa. Wczoraj stracił cierpliwość i wzruszając ramionami wyszedł pierwszy.

Dzisiaj, po dziesięciu minutach czekania, które bez wątpienia spędziła ubrana do wyjścia, na stojąco, z para-' solką w dłoni, to ona zdecydowała się zejść i wziąć z kuchni siatkę na zakupy.

On też miał siatkę, prawie identyczną. Kiedy za żoną zamknęły się drzwi, sam z kolei wyszedł na ulicę.

Widział ją na chodniku, drobną i wątłą, niezdarnie stąpającą na opuchniętych nogach, kiedy starała się orni-

nąć kałuże, z parasolką koloru lilaróż kołyszącą się nad jej głową.

Wiedziała, że idzie za nią. Czasem ona szła z tyłu, w niezbyt dużej odległości, bo uważał, żeby nie iść za szybko.

Skręciła na prawo w stronę bulwaru de Port-Royal, przeszła przez jezdnię na wprost szpitala Cochin, gdzie widać było ambulanse na dziedzińcu, który wielkimi krokami przemierzali młodzi lekarze w białych kitlach.

Nieco później oboje, jedno o trzydzieści metrów za drugim, zagłębili się w ulicę Saint-Jacques, gdzie w sklepach tłoczyły się klientki.

Czy Małgorzata wejdzie do Rossiego?

Włoski sklep Rossiego, ciemny i głęboki, przeładowany wiktuałami, gdzie dostać można było. zwłaszcza gotowe przystawki — małe karczochy w oliwie, smażone ryby w pikantnym sosie, marynowane ośmiornice wielkości palca, na które spoglądał łakomym okiem.

Potrzebował cukru i kawy. Kiedy wszedł, Małgorzata rozglądała się po półkach; poprosiła o spaghetti, a potem o trzy pudełka sardynek.

Nie dała po sobie poznać, że zdaje sobie sprawę, z jego obecności. Nie zwracali na siebie uwagi publicznie, tak samo jak w domu, i kupców z tej dzielnicy nie dziwiło już, że pojawiają się w ich sklepach jedno tuż za drugim, nie wymieniając ze sobą ani słów, ani spojrzeń.

Każde dla siebie. Ale śledzili się nawzajem i jeśli któreś kupowało coś szczególnie drogiego czy niecodziennego, drugie nie dawało się zakasować.

— Czy są cannelloni?

— Świeżutkie, dziś przyrządzone.

— Poproszę o cztery.

Były duże, obficie nadziewane farszem. Małgorzata aż się zatrzęsła.

— Poproszę o trzy plasterki szynki parmeńskiej. Nie za grube. Wcale nie mam apetytu!

Pod płaszczem nosiła szal, jak ktoś, kto nie czuje się

dobrze i obawia się przeziębienia. Wyglądała przez to ria starszą i bardziej schorowaną.

— Coś pani dolega, pani Bouin?

Ludzie tu zawsze mieli opory przy wymawianiu jej Obecnego nazwiska. Dawni mieszkańcy znali ją kiedyś jako pannę Doise. Nazwisko to miało dla nich swoisty urok, bo sprzedawali biszkopty Doise, herbatniki Doise i słodkie ciasteczka tej samej marki.

Dziadek Małgorzaty założył fabrykę biszkoptów, której wysoki komin, z dużym D wymalowanym białą farbą w połowie wysokości, wznosił się jeszcze na ulicy de la Glaciere.

Nawet w tym sklepiku na wielu spośród metalowych puszek ze szklaną pokrywką zawierających łakocie widniało nazwisko Doise, pod którym co prawda figurowało inne: W. Sallenave, następca.

Przez ponad trzydzieści lat nazywano ją panią Chartnois i trudno im było przywyknąć do nowej zmiany.

Obsługiwała ją pani Rossi.

— Co więcej dla drogiej pani?

— Chwileczkę, sprawdzę listę... Ma pani jeszcze te czekoladki, które brałam ostatnio?

— Nadziewane orzechami?

— Tak. Poproszę pół funta... Zjadam jedną od czasu do czasu, więc wystarczają mi na długo...

On ze swej strony nie zapominał o cukrze ani o kawie. Poprosił jeszcze o ćwierć funta salami i ćwierć mortadeli. W przeciwieństwie do żony, nie odczuwał potrzeby tłumaczenia się.

Małgorzata wyjmowała pieniądze z portmonetki.

— Ile płacę?

A on zwłóczył wśród półek, żeby znaleźć .się przy kasie dopiero po jej wyjściu.

Nie opodal była jatka. Ludzie stali w kolejce. Raul Prou dzielił mięso i żartował z klientkami.

Emil odczekał, aż za Małgorzatą staną jaszcze dwie kobiety.

Co ludzie mówili po ich wyjściu? Nieprawdopodobne

było, żeby na przykład taki Prou nie wygłaszał komentarzy.

— Widzieliście tych dwoje pomylonych? To mąż i żona, a co rano przychodzą tu, jedno zaraz po drugim, udając, że się nie znają. Każde kupuje dla siebie. Ciekawe, co robią przez cały dzień sami w domu... Ona zresztą to nie byle kto... Jej pierwszy mąż grał na skrzypcach w Operze i dawał lekcje muzyki.

— Pani kolej, pani Bouin. Przeziębiona?

— Chyba zaczyna mi się bronchit...

— Żarty na bok... W pani wieku to niewskazane... Czym pani mogę dziś służyć?

— Mógłby mi pan ukroić malutki sznycelek, bardzo cienki? Wie pan...

Wiedział. Ciągle napomykała, że je tyle co ptaszek, jakby broniąc się przed zarzutem skąpstwa.

— Odkroi pan tłuszcz?

— Niewiele zostanie...

—- Dla *mnie* wystarczy...

Na pewno litowano się nad nią, uważano, że on jest wszystkiemu winien. Kiedy się z nią żenił, był jeszcze z niego chłop na schwał, dopiero niedawno zaczął się jak gdyby kurczyć. Palił małe cygara, nieforemne i bardzo mocne. Niekiedy spluwał na ziemię żółtawą śliną i widywano go, jak popijał w bistro. Nie do pomyślenia, żeby pierwszy mąż Małgorzaty zachowywał się w taki sposób!

A czy nie znaleźli się tacy, którzy twierdzili, że zawrócił jej w głowie i ożenił się dla pieniędzy?

Wierutne kłamstwo. Był mniej więcej tak samo zamożny, jak ona. Nie wiedział dokładnie, boi Małgorzata w tych kwestiach zachowywała dyskrecję. Pobrali się na zasiądzie rozdziału majątkowego, ale o ile się orientował, nic miała spadkobierców ani bezpośrednich, ani pośrednich.

Sam prócz oszczędności miał swoją rentę i gdyby umarł przed nią, pobierałaby jej połowę dożywotnio.

Które więc z nich dwojga było wyrachowane?

Oboje? Żadne?

— Ma pan ładne cynaderki cielące?

Wyszła otwierając w drzwiach sklepu swoją fiołkową parasolkę i skierowała się w stronę mleczarni.

Kiedy tam wszedł, stała już przy kasie. Nie zobaczył, co kupiła. Wiedział tylko, że zapłaciła za to dwa franki czterdzieści pięć.

— Ćwiartkę munstera...

Był to ser o silnym zapachu, którego nie cierpiała.

— Tuzin jajek...

Kupi jeszcze ćwierć funta pieczarek i dziś wieczór, przed serem, przyrządzi sobie pyszny omlet, niedosmażony, bo taki lubił. Będzie się krzywiła ze wstrętu, może nawet wstanie od stołu, bywało już tak parę razy, zwłaszcza kiedy zobaczy, że odwija munstera.

Stała przed straganem z warzywami, gdzie kupowała kartofle. Przepadała za kartoflami na ciepło *i* na zimno i jadła je niemal do każdego posiłku.

— Poproszę o pieczarki.,. Sto dwadzieścia pięć gra mów...

Nie dodał, jakby ona zrobiła na jego miejscu:

— To na omlet.

— I co jeszcze, panie Bouin?

On także potrzebował kartofli i wrzucił je na dno siatki, żeby nie zgniotły innych sprawunków.

— Cebulę... Najlepiej z tej czerwonej...

— Pół funta? Bardzo dobrze się przechowuje.

— Wiem. Pietruszka... Kilo jabłek... Nie tych, wolę tamte, trochę pomarszczone...

Na pewno gadano, że on dalej dogadza sobie i urządza libacje, podczas gdy jego biednej żonie wszystko zobojętniało, jada tylko okruszyny, ledwo co biorąc do ust.

Więcej nic nie potrzebował. Patrzał, jak żona wchodzi do pomalowanej na zielono apteki i jak aptekarz pokazuje jej różne pudełka i tubki z pigułkami, chyba lekarstwa na katar. Pytała o coś, wahała się, wreszcie wybrała pastylki. To nie było wszystko. Z daleka poznał, co znajduje się w płaskiej kopercie. Plastry musztardowe.

Dziś wieczorem przed pójściem do łóżka jeden z nich po zwilżeniu przyłoży sobie na piersi, potem będzie się skręcać, żeby drugi nalepić na plecy. Nie było to łatwe. Za każdym razem robiło mu się jej żal, powstrzymywał się, żeby nie wyciągnąć ręki, nie pomóc jej, bo wiedział przecież, że uznałaby ten gest za obrazę.

Potem w oczekiwaniu na skutki lekarstwa Małgorzata będzie dreptać nerwowo między sypialnią a łazienką, aż ból stanie się nie do zniesienia.

Potrafiła wytrzymać to bardzo długo. Można by sądzić, że zadaje sobie w ten sposób pokutę, i skóra po zdjęciu pokrytego musztardą plastra była czerwona jak żywa rana.

Czy to wszystko na dzisiaj? Nie. Poszła jeszcze do księgarni z używanymi książkami, gdzie za pięćdziesiąt centymów można było wymienić' jeden tom na drugi. Zawsze wybierała powieści z początku wieku, smutne historie, które wzmagały jej melancholię.

Czasem, kiedy nie było jej w salonie, przebiegał wzrokiem parę ustępów. Zawsze chodziło w nich o heroinę dumną i odważną, na którą waliły się wszystkie nieszczęścia, ale która mimo to chodziła z podniesioną głową.

— Biedna kobieta...

Często tak o niej myślał. Zdarzało się, że był już niemal skłonny uznać się za brutala, ale potem zaczynał przeżuwać wspomnienia z ostatnich trzech lat i w końcu pisał na karteczce:

Kot

To ona, bez żadnej wątpliwości, podrzuciła trutkę na szczury do miski z jedzeniem dla kota. Skorzystała z tego, że mąż leżał chory na grypę.

Wieczorem zdziwił się, że kot nie wskakuje na łóżko.

— Nie widziałaś go?

— Ostatni raz po południu.

— Wypuściłaś go na dwór?

— Otworzyłam mu drzwi około piątej, kiedy prosił.

— Nie wyszłaś razem z nim na ulicą?

To było zimą. Powłoka śniegu pokrywała bruki zaułka. Jeszcze nie przystąpiono do burzenia domów po drugiej stronie ulicy i dwa ich rzędy stały naprzeciw siebie jak za czasów Sebastiana Doise.

— Nie skrobał potem do drzwi?

— Nic nie słyszałam. Wysunął już
jedną nogę z łóżka.

— Chcesz, żebym rozejrzała się za nim?

— Sam się rozejrzę.

— Masz zamiar wyjść z taką gorączką?

Wydało mu się, że głos żony brzmi fałszywie. Dotychczas uważał, że ma trudny charakter, że często ulega urojeniom, niekiedy wręcz niedorzecznym, ale nigdy nie wpadło mu do głowy, że mogłaby być po prostu niegodziwa.

Właśnie kot, i tylko kot, budził w niej wrogie uczucia. Za każdym razem, kiedy otarł się o nią, odskakiwała z krzykiem. Przesadzała. Był pewien, że gra komedię. Już w pierwszych dniach po ślubie napomykała, że mógłby pozbyć się zwierzęcia, choćby darowując je któremuś z przyjaciół.

— Całe życie bałam się kotów... Może umiałabym przyzwyczaić się do psa... Za życia ojca mieliśmy nawet psa, który chodził za mną, kiedy byłam malutka, i jakby nade mną czuwał... Koty są fałszywe... Nigdy nie wiadomo, co knują...

— Józef nie jest taki...

Bo nazwał Józefem stworzenie, które znalazł pewnego wieczoru wracając do domu. Małgorzata była zgorszona.

— Moim zdaniem nie godzi się nadawać zwierzęciu imienia świętego.

— Już za późno, żeby unieważnić chrzciny...

— Jak możesz tak to nazywać! Czy zwierzęta się chrzci?

— Dlaczego nie?

To była ich pierwsza sprzeczka. Potem nastąpiły dal-

sze, zawsze na temat Józefa, który przysłuchiwał im się, jakby wiedział, że jest przedmiotem rozmowy.

— Nie jest nawet rasowy...

— Ja też nie...

Droczył się z nią. Leżało to w jego charakterze, stanowiło cząstkę przyzwyczajeń. Na budowie nie szczędzili sobie kpin mniej czy bardziej złośliwych, co nie przeszkadzało, że po gwizdku na fajerant szli razem czegoś się napić.

Z Angelą też się nie krępował, posuwając swą szczerość nieraz dość daleko.

— Chodź tu, uparciuchu...

— Dlaczego nazywasz mnie uparciuchem?

— Bo jesteś taka sama jak wszystkie kobiety. Patrząc na ciebie każdy przysiągłby, że wyłazisz ze skóry, żeby mi dogodzić, i że tylko ja jestem dla ciebie ważny. W rzeczywistości zawsze upierasz się przy swoim...

— To nieprawda. Zawsze cię słucham...

— Może i tak, w pewnym sensie. Kiedy masz na coś ochotę, wmawiasz mi, że to ja tego chcę... Tak, tak, staruszko... Już ja cię znam! Nie jesteś lepsza od innych. dziwek...

— Nie wstydzisz się?

— Nie.

W końcu oboje wybuchali śmiechem i najczęściej szli razem do łóżka.

Z Małgorzatą rzecz się miała inaczej. Nie do pomyślenia było pójście do łóżka ani użycie nieprzyzwoitego wyrazu. Na sam ich dźwięk wzdrygała się i zamykała natychmiast w milczeniu pełnym potępienia.

Stale jeszcze co rano przystępowała do komunii, a czasem i pod wieczór przyklękała na dobrą chwilę w półmroku kościoła obok konfesjonału.

— I co, pomodliłaś się?

— Modliłam się za ciebie...

Nie miał jej tego za złe. Miał pretensję do siebie, że się z nią ożenił, bo z człowiekiem jego pokroju nie mogła być szczęśliwa.

Co mu strzeliło do głowy? Często nad tym medytował. Które z nich dwojga zrobiło pierwszy krok?

Mieszkał naprzeciwko, tam gdzie dzisiaj ustawiony jest dźwig. Odnajmował pokój na piętrze u młodego małżeństwa, dla którego dom był za duży i czynsz za wysoki.

Wyprowadził się z ulicy de Charenton po trosze z tych samych powodów. Czuł się zagubiony w mieszkaniu, które dawniej dzielił z żoną. Posiłki jadał przeważnie w restauracji. Wystarczał mu jeden duży pokój i łazienka. Fotel przysunął do okna, skąd słyszał plusk wody w fontannie. Wieczorami, jeśli nie wychodził, oglądał telewizję.

Miał już paru przyjaciół w kafejce na placu Denfert-Rochereau, gdzie grywał zwykle w karty. A jeśli chodzi o kobiety, miał przecież Nelly, nawet jeśli nie było to zbyt wygodne. Nie przywiązywał do tego wagi. Nelly wystarczała, żeby nie musiał zaprzątać sobie tym głowy.

Co rano widywał malutką panią z domu naprzeciwko, jak udaje się po sprawunki, i uważał, że jest dystyngowana. Przypominała mu damy ze starych kalendarzy, miała podobny uśmiech, słodki i zrezygnowany.

Wiedział, że jest właścicielką domów po drugiej stronie ulicy, i to wszystko. Choć znał jej nazwisko, i tak nie kojarzył go z herbatnikami Doise, które jadał w dzieciństwie.

Wracali. Ona z parasolką i torbą, którą czasem trącała jakiegoś przechodnia, on z cygarem w ustach, z twarzą mokrą od mżawki.

Wkrótce znajdą się sam na sam w czterech ścianach, każde z własnymi myślami, każde z własnymi sprawunkami, czekając, aż nadejdzie pora przyrządzania obiadu.

Na placu Saint-Jacques zatrzymał się i pozwalając jej się oddalić, wstąpił do baru na szklankę czerwonego wina.

Właścicielka stała za ladą, równie stara jak Małgorzata, z ciasnym kokiem na czubku głowy i wielkimi miękkimi piersiami, opadającymi na ogromny brzuch.

— Wygląda, jakby miał spaść śnieg — powiedziała przyglądając się barwie chmur.

ROZDZIAŁ TRZECI

Zszedł na dół narzuciwszy wełniany szlafrok na piżamę, i w bamboszach na gołych nogach. Szukał wszędzie — w salonie, w jadalni, w kuchni, zaglądał pod meble, od ciągłego schylania się rozbolała go głowa, bo miał przecież gorączkę.

Od czasu do czasu wydawał lekki gwizd, dobrze znany kotu, i nawoływał łagodnym głosem, przez który przebijał niepokój;

— Józef... Józef...

Potem nałożył kalosze i chwycił pierwsze z brzegu okrycie zdjęte z wieszaka — starą kurtkę z czarnej skóry. Mało go obchodziło, że wygląda śmiesznie.

— Emil! — wołała żona z górnego podestu schodów.— Nie wychodź... Rozchorujesz się...

Ale przemierzał już zaułek w ciemności po chrzęszczącym śniegu i parę razy omal się nie pośliznął, nie wywrócił na chodnik. W oświetlonym oknie drugiego z kolei domu jakieś dziecko wodzące za nim oczami, z twarzą przyciśniętą do szyby i spłaszczonym nosem, odwróciło się, żeby zawołać matkę widoczną przez otwarte drzwi kuchni.

Straszył dzieci swoim dziwacznym strojem. Doszedł aż do ulicy de la Santé. Kot, kiedy wypuszczano go samego, nigdy nie przekraczał niewidzialnej linii dzielącej zaułek od ulicy.

—i Józef!

Zbierało mu się na płacz. Nie uwierzyłby, że zniknięcie kota może go tak poruszyć, przygnębić do tego stopnia.

W pobliżu żyły dwa psy, brązowy basset należący do samotnej pani i biały szpic, którego przeważnie prowadziła na smyczy dziewczynka dwunasto- czy trzynastoletnia.

Dotychczas nigdy nie było konfliktów między nimi a Józefem. Przy spotkaniu kot wzgardliwie patrzył w inną stronę, a w razie potrzeby schodził na jezdnię, żeby ustąpić im miejsca.

Wychodząc zostawił drzwi nie domknięte. Pchnął je, zdjął skórzaną kurtkę i kalosze, wrócił do sypialni. Już miał położyć się do łóżka ze ściągniętą twarzą, z twardym spojrzeniem, kiedy nagle przypomniał sobie o piwnicy i zszedł na dół.

Małgorzata, wyraźnie zdenerwowana, -towarzyszyła mu aż do parteru.

—- Przyniosłaś drzewo? — zapytał.

— Musiałam przecież rozpalić w kominku...

Jeszcze jej nie oskarżał, ale już zatliło się w nim podejrzenie. W piwnicy zapalił słabiutką żarówkę u sufitu, zabrał się do szukania pomiędzy starymi skrzyniami, butelkami i polanami drzewa.

— Józef!...

Znalazł go w kącie pod wilgotną ścianą, za stertą chrustu. Zwierzę było sztywne, miało rozwarte, nieruchome oczy i skręcone ciało. Wydawało się o wiele chudsze niż za życia. U pyszczka wisiała zaschnięta ślina, na ziemi widać było zielonkawe wymiociny.

Emil wziął go na ręce, na próżno usiłował zamknąć mu oczy. Zetknięcie z niemal lodowatym ciałem wywołało dziwne uczucie w okolicy kręgosłupa.

Nie był z natury pasjonatem. Owszem, parę razy, bardzo rzadko zresztą, zdarzyło mu się bić z kimś, przeważnie w barach, raz tylko na budowie, i zawsze potrafił zachować zimną krew.

Teraz jego twarz była wykrzywiona gniewem. Z kotem w ramionach rozejrzał się dookoła, jakby czegoś szukając. Istotnie znalazł. W zaułku było dużo szczurów. Czasami z okien pierwszego piętra widziało się je w nocy, jak krążą wokół pojemników na śmieci, i Małgorzata bardzo się ich bała.

— Myślisz, że są u nas w piwnicy?

— Możliwe.

— Gdyby tak było naprawdę, nie odważyłabym się tam nigdy zejść.

Kupił roztwór arszeniku, jaki można nabyć w każdej drogerii. Od czasu do czasu wieczorami robił trutki z chleba i rozrzucał je po kątach piwnicy.

Ostatecznie znalazł tylko jednego zdechłego szczura, za to olbrzymiego, prawie tak dużego jak Józef. Może inne wolały umierać gdzieś dalej.

Blaszana butla zawierająca truciznę stała na czymś w rodzaju etażerki, w którą wtykano różne przedmioty nie mające określonego miejsca.

Odłożył na moment kota, potarł zapałkę, zobaczył dawny krążek, jaki butla pozostawiła na zakurzonej półce. Obok by! drugi, świeższy.

Podniósłszy zwłoki swego kota, ruszył na górę powoli, tak powoli, tak ciężko, że Małgorzata czekająca na parterze musiała odczuć groźbę.

Chciała najpierw schronić się na pierwszym piętrze, ale ponieważ zagradzał jej drogę, rzuciła się do salonu. Kiedy próbowała zaniknąć drzwi na klucz, wysunął stopę, pchnął jedno skrzydło, podszedł do niej, ciągle tak samo powoli, i lewą ręką chwycił ją za włosy.

Jednocześnie prawą ręką zbliżył kocie szczątki do jej przerażonej twarzy.

— Popatrz, ścierwo! Przyjrzyj się dobrze!...

Wstrząsana dreszczami, z oczyma wychodzącymi z orbit, wzywała pomocy przejmującym głosem. Nie panowała już nad sobą, zachowywała się jak wariatka.

— Emil !... Emil !... litości, pohamuj się... Boję się ciebie...

Dalej tarł jej twarz kocią sierścią, aż wreszcie uklękła na podłodze, potem zatoczyła się głową naprzód, jakby mdlejąc.

— Dobrze wiem, że odstawiasz komedię... Zawsze się zgrywasz, ty kanalio!... Sam nie wiem, dlaczego nie idę po truciznę i nie wlewam ci jej siłą do gardła...

Oddychał ciężko, kręciło mu się w głowie. Z twarzą nabiegłą krwią musiał wyglądać strasznie.

Leżała bez ruchu. Żeby wyładować furię, zmiótł jednym ruchem wszystkie bibeloty, wszystkie fotografie z wieka fortepianu.

Po czym, bez jednego spojrzenia w stronę żony, wspiął się na schody, ciągle z kotem, którego położył delikatnie na komodzie w sypialni.

Gorączka na pewno podskoczyła do góry. Słaniał się na nogach. Wyciągnął się na łóżku, zgasił światło i leżał bez ruchu z otwartymi oczami.

Z początku w domu panował spokój. Przez przeszło kwadrans nic nie mąciło ciszy. Potem rozległy się niewyraźne szmery, szelesty, odgłos ostrożnie otwieranych drzwi, najpierw jednych, potem drugich.

To Małgorzata przeszła przez jadalnię do kuchni, bo na pewno czuła potrzebę łyknięcia sławetnego kordiału. Miał potem znaleźć kieliszek koło zlewu.

Odczekała prawie godzinę, nim odważyła się wejść na górę, i tu jeszcze przez pewien czas nasłuchiwała z uchem przy drzwiach. W końcu wsunęła się do sypialni i po chwili wahania położyła się w ubraniu na swoim łóżku.

Żadne z nich nie spało, Emil oddychał z trudem. Parokrotnie zapadał w sen i za każdym razem budziły go koszmary, które na próżno usiłował sobie potem przypomnieć.

O szóstej ocknął się już na dobre, z bólem głowy. Niewiele brakowało, żeby został w łóżku. Spocił się mocno, piżama i poduszka były wilgotne. Żona spała. Nie udało jej się czuwać do końca i leżała z ciałem skręconym, prawie tak jak zwłoki kota.

Czuł się pusty w środku, niezdolny do myślenia. Machinalnie nałożył szlafrok, ujął i zwierzątko za dwie łapy jak królika i wyszedł na schody.

Józef nie był już jego przyjacielem, żywą istotą, która brała udział w jego życiu i z którą tak dobrze się porozumiewał. Teraz była to tylko padlina, martwy przedmiot, który zaczynał cuchnąć.

Stał chwilę w korytarzu, wreszcie otworzył drzwi i zrobił trzy kroki w stronę pojemnika na śmieci. Wozy ase-

nizacyjne jeszcze tędy nie przejechały. Podniósł pokrywę i złożył na śmieciach kocie zwłoki, które straciły już sztywność.

Potem w kuchni umył ręce i przyrządził sobie kawę.

Nie wątpił w winę Małgorzaty. Czy lęk, którego nie umiała ukryć, kiedy schodził do piwnicy, nie stanowił wystarczającego dowodu?

Przełknął tylko parę łyków. Mdliło go od kawy. Wstał, otworzył szafkę, wyjął napoczętą butelkę wina. Było to jak zwykle czerwone wytrawne. Oparłszy łokcie na pokrytym ceratą stole, wypił *dwie* szklanki jedną po drugiej. Jeszcze nie dniało. Był grudzień i poprzedniego wieczoru ołowiane niebo znowu zapowiadało śnieg.

Najpierw pomyślał, że sobie stąd pójdzie. Ale dokąd? Ma wynająć umeblowany pokój w małym hoteliku, póki nie znajdzie *innego* mieszkania? Musiałby wówczas oddać gdzieś na przechowanie swoje meble.

Zachował z pierwszego małżeństwa łóżko, „swój" fotel w salonie, telewizor i sekreterę, którą podarowała mu Angeła. Był to jej prezent gwiazdkowy niespełna rok przed wypadkiem. Teraz znowu zbliżało się Boże Narodzenie.

Nie przyjmie upominku od Małgorzaty, która kupowała mu przeważnie domowe pantofle, koszule lub skarpetki. Sam też jej nic nie ofiaruje.

Między nimi wszystko skończone. Obnażyła swoją prawdziwą naturę, którą, jak już nieraz podejrzewał, kryła za słodziutkimi minkami.

Nalał sobie trzecią szklankę. Nie miał ochoty znaleźć się z nią razem na górze. Niech śpi. Niech wypoci z siebie złość. Nigdy nie odezwie się do niej słowem.

Oboje są starzy, nawet jeśli na co dzień sobie tego nie Uświadamiają. Za parę lat nie będą już żyli. Czy z powodu jakiegoś kota znalezionego pewnego wieczoru na ulicy...

Nie wolno mu zmięknąć. Nie chodzi tu wyłącznie o Józefa. Poprzez zwierzę chciała ugodzić w niego.

Od momentu, kiedy wprowadził się do tego domu,

ściślej mówiąc natychmiast po ślubie, zrozumiał, że Małgorzata postanowiła nie dopuścić do żadnych zmian.

Jej dziad, Artur Doise, na fotografiach w albumie noszący bokobrody, surdut i bardzo wysoki kołnierzyk, założył niegdyś na ulicy de la Glaciere wytwórnię herbatników Doise, którą stopniowo rozwinął w świetnie prosperujące przedsiębiorstwo.

Miał tylko jednego syna Sebastiana i córkę Eleonorę, której pożółkłe zdjęcie także widniało w albumie oprawnym w niebieską skórę z narożnikami obitymi miedzią i z kwiatem z miedzianej nitki i emalii na okładce.

Eleonora umarła w trzynastym roku życia na gruźlicę, jak później matka Małgorzaty.

Kiedy Sebastian żenił się, był to już pan z brzuszkiem, zbliżający się do czterdziestki, też zawsze w surducie, z zegarkiem na podwójnym łańcuszku obwieszonym breloczkami.

Rodzina Doise wytworzyła z czasem pewien szczególny typ umysłowości, specyficzną atmosferę, swoiste obrzędy familijne. Zaułek został zabudowany w epoce, kiedy nieruchomości uważano za najlepszą lokatę kapitału i kiedy w Paryżu i w okolicach, wszędzie po trosze, całe ulice wyrastały nagłe jak spod ziemi.

Sebastian kazał potem zrobić fontannę i zaułek przestał być zaułkiem; na niebiesko-białej tabliczce, a także na papierze listowym i na kartach wizytowych widniała nowa nazwa: Skwer Sebastiana Doise.

Stary Artur już nie żył. Nie żyła żona Sebastiana. W domu była tylko córka Małgorzata i ojciec zabierał ją, ubraną w haftowane koronkowe sukienki, na spacer na Pola Elizejskie i do Lasku Bulońskiego.

Zachowała się ich fotografia w wynajętym powozie. Sebastian nie poświęcał całego czasu firmie Doise, jak stary Artur. Bywał w klubach, chętnie spędzał popołudnia na wyścigach, z lornetką na skórzanym pasku przewieszoną przez ramię, w szarym meloniku na głowie.

Małgorzata miała guwernantkę, pannę Piquet, w domu

była kucharka i kilka razy w tygodniu przychodziła posługaczka.

Dorastającą dziewczynkę uczył gry na fortepianie młody człowiek nazwiskiem Fryderyk Charmois, który wkrótce miał zostać jej mężem.

Tworzyło to harmonijną całość i dom wydawał się definitywnie zabezpieczony przed wszelkimi atakami z zewnątrz.

Jednakowoż na ulicy de la Glaciere pracował niejaki Wiktor Sallenave, który zaczynał jako księgowy u Artura Doise. Po śmierci starego Artura jego pozycja stawała się coraz mocniejsza i wkrótce wprowadził do firmy swego syna Raula.

Co się właściwie stało? Małgorzata nie mówiła o tym wyraźnie, robiąc tylko mgliste aluzje do przebiegu zdarzeń. Emil z wielkim trudem skłonił ją do wyznania, że dwie kobiety w rodzinie umarły na gruźlicę. Kiedy spytał, czy jej ojciec nie był przypadkiem graczem, odrzekła z niewinną miną:

— Dlaczego miałby być graczem?

Ludzie noszący nazwisko Doise nawet po śmierci musieli być nieskazitelni. Opowieści rodzinne utrzymane były w tonacji pastelu lub akwareli. Wszystko tu było czyste i delikatne jak poetyczny profil pierwszego skrzypka Opery.

A przecież Sebastian Doise znalazł się pewnego dnia w obliczu bankructwa — to słowo budziło jeszcze większą grozę niż gruźlica.

Żeby uniknąć skandalu i kompromitacji, wolał ustąpić panom Sallenave, ojcu i synowi, i, dzięki temu Raul Sallenave po śmierci Wiktora królował obecnie na ulicy de la Glaciere i na bulwarze d'Ivry, gdzie postawił nowe budynki.

Skąd syn murarza z Charenton, nieokrzesany nadzorca robót budowlanych, wziął się w takim domu?

Czy Małgorzata nie dawała mu często odczuć, że dzieli ich przepaść, której nic nie zdoła zapełnić?

Wyszła za niego za mąż z lęku przed samotnością, ze

strachu, że nie będzie przy niej nikogo, kto się nią zaopiekuje w razie konieczności, a także dlatego, że w domu potrzebny był mężczyzna, choćby po to, aby rąbać drzewo, wnosić je na górę i wystawiać pojemnik ze śmieciami.

Być może starzejącą się wdowę podniecił też stały kontakt z mężczyzną, codziennie niemal przychodzącym do niej na herbatę.

Nic z tego nie wyszło. Opierała mu się od pierwszego cielesnego zetknięcia i dwa łóżka stały się symbolem ich nieudanego związku.

Był tu ostatecznie zawsze tylko intruzem i w głębi duszy na pewno oskarżała go, że wtargnął do jej domu podstępem.

Jakby sama go nie wezwała!

W upalny sierpniowy poranek siedział przy oknie. Z Angelą wyjeżdżał czasem na wakacje nad morze lub na wieś. Odkąd został wdowcem, rzadko opuszczał Paryż. Co by robił zupełnie sam poza domem?

Po przeciwnej stronie ulicy Małgorzata otworzyła nagłe dramatycznym gestem drzwi. Była dziesiąta rano. W całym zaułku koce, pościel, materace wietrzyły się na parapetach okien.

Rozglądając się niespokojnie dookoła, szukała kogoś, do kogo mogłaby zwrócić się o pomoc, i widać było, jak jest przejęta.

— Proszę pana! — zawołała do niego z chodnika.

Podniósł się z fotela.

— Czy nie zechciałby pan zejść?... Trzeba prędko coś zrobić, bo zaleje cały dom...

Zbiegł na dół, tak jak stał, bez marynarki, i przeszedł przez jezdnię.

— Co się stało?

— Woda zalewa łazienkę... Ja się na tym zupełnie nie znam...

Wszedł na schody w tym domu nie znanym mu, ale podobnym do tego, który przed chwilą opuścił. W łazien-

ce pękła rura i tryskał z niej prawdziwy gejzer wrzącej wody.

— Ma pani jakieś narzędzia, duży klucz francuski?

— Chyba nie... Nie... Nigdy się takimi sprawami nie zajmowałam. Były jakieś narzędzia w piwnicy, ale zardzewiały i wyrzuciłam je...

—- Zaraz wracam...

Przyniósł od siebie, co należało.

— Gdzie jest zawór?

— Pod schodami... Boże!... Sufit będzie zrujnowany... Po pięciu minutach woda przestała tryskać.

— Proszę mi dać wiadro, grubą ścierkę...

W łazience stało kilka centymetrów ciepłej wody i mimo jej protestów wytarł skrupulatnie podłogę.

— Błagam, niech pan nie zadaje sobie tyle trudu... Wstydzę się, że pana poprosiłam.. Przecież nawet pana nie znam.'...

— Już teraz mnie pani zna.

— Niech mi pan pozwoli skończyć... To nie jest robota dla mężczyzny...

— Żeby pani też się zamoczyła?

Pracował szybko, nie denerwując się, jak człowiek, który przez całe życie posługiwał się rękami.

— Ma pani czysty ręcznik?

Doprowadził wszystko do porządku i kiedy skończył, można by sądzić, że nic się nie wydarzyło.

— Rura jest stara, zardzewiała. Pochodzi chyba z czasów, kiedy zbudowano dom, a to było nieco dawniej niż wczoraj...

Czy ją uraził?

— Nie miałam pojęcia. Co trzeba zrobić?

- Mógłbym ją przylutować, ale to nie starczyłoby na długo. Lepiej wymienić całą odnogę aż do głównego przewodu... Chwileczkę... Trzy metry... trzy i pół... Ma pani hydraulika?

— Nie przypominam sobie, żebym go kiedyś potrzebowała, w każdym razie na pewno nie po śmierci męża... A przedtem nie obchodziło mnie to...

Wydawała się taka słaba, bezradna, sama jedna w całym domu, że zaproponował:

— Mam się tym zająć?

— Jest pan hydraulikiem?

— Niezupełnie... Ale znam się na tym co nieco.

— Drogo to będzie kosztowało?

— Tyle co trzy i pół metra rury... Zeszli na dół.

— Czym mogę pana poczęstować? Wypije pan kieliszek?

Tego dnia zawarł znajomość ze sławetnym kordiałem.

— Nie smakuje panu?

— Nie jest złe...

— Kiedy byłam młodą dziewczyną, kazano mi to brać przeciw anemii. Malutki kieliszek przed obiadem.. Nigdy nie byłam zbyt silna...

Wydało mu się to zabawne. Wrócił do siebie, żeby się przebrać, potem w sklepie z wyrobami żelaznymi kupił kawałek rury. Kiedy zadzwonił do drzwi, zdążyła już włożyć bladoróżową suknię i przyczesać włosy.

— Tak szybko z powrotem?!... Jest pan pewien, że nie nadużywam pana uprzejmości? Nie zaniedbuje pan innych obowiązków?

— Nie mam nic do roboty przez cały dzień...

— To prawda, że często widzę pana siedzącego przy oknie... Pan też mieszka sam?

— Odkąd owdowiałem...

— Nie pracuje pan? Dawniej wychodził pan wcześnie rano i wracał dopiero wieczorem-

— Od pół roku jestem na emeryturze.

Nie śmiała zapytać, co przedtem robił. Przyniósł kolbę lutowniczą, skrzynkę z narzędziami, było tam pracy na ponad godzinę.

— To ładnie z pana strony!... Samotna kobieta jest taka niezaradna i jeśli cokolwiek się stanie, drobnostka nawet, natychmiast traci głowę...

— Gdyby znowu gdzieś ciekło lub co innego się zepsuło, proszę zaraz mnie wezwać.

— Ile panu jestem winna?

Wyjął z kieszeni paragon opiewający na piętnaście franków i parę centymów.

— A za robotę?

— Ależ, proszę pani, za to nie wezmę pieniędzy! Bardzo jestem rad, że udało mi się wyświadczyć pani tę drobną przysługę.

— Wypije pan jeszcze kieliszek?

— Szczerze mówiąc, pijam tylko wino...

— Ja niestety nie mam wina w domu! Ale wie pan co? Na dziś po południu wystaram się o jakąś butelkę dobrej marki...

— Wystarczy zwyczajne czerwone. Nie jestem przyzwyczajony do drogich win...

Świeciło słońce. Stojąc na progu uśmiechali się do siebie.

*

* *

Nie lubił tego wspominać.

Siedział biedny, nieszczęśliwy, w szlafroku i w bamboszach na gołych nogach, w kuchni było jeszcze zimno, ciekło mu z nosa i musiał nieustannie go wycierać.

Przyniósł sobie z salonu włoskie cygara, ale tytoń miał zły smak. Przez trzy dni leżąc w łóżku wcale nie palił. I prawie nic nie jadł.

Wypijał dzbany ciepłej lemoniady słodzonej miodem, które przynosiła Małgorzata. Zrobiła mu budyń. Była niezadowolona, że wzbrania się przed plastrem musztardowym silnie rozgrzewającym, który miała ochotę przyłożyć; mu na plecy i piersi.

A teraz? Słyszał, że na górze cieknie z kranu woda, domyślił się, że wstała i myje zęby. Na pewno jest przerażona. Zastanawiał się, czy ośmieli się zejść na dół, kiedy będzie ubrana.

Ile szklanek wina wypił? Butelka była pusta. Wstał, żeby wziąć następną z kredensu, wtedy jeszcze wspólnego.

Zazwyczaj pił powściągliwie i można było policzyć na palcach wypadki, kiedy się zalał.

Tego ranka czuł, że krew uderza mu do głowy, że ma wypieki. Zdawało mu się, że stało się coś niezwykle ważnego, czego skutków nie potrafi jeszcze przewidzieć.

Od momentu, kiedy Małgorzata otruła jego kota, wszystko okazało się fałszem, jak |już przedtem podejrzewał, choć nie chciał w to uwierzyć. Odtwarzał w pamięci obrazy, przypominał sobie strzępy zdań, niektóre jej spojrzenia.

Nigdy nie mówili o miłości, nie licowało to z ich wiekiem. Czy to, co czuł do pierwszej żony, Angeli, było miłością? I czy Małgorzata, choć tak wykrygowana, naprawdę kochała swego pierwszego męża?

Trudno było teraz stwierdzić, które z nich dwojga pierwsze pomyślało o wspólnym życiu.

Dzieliła ich tylko szerokość zaułka. Ani on, ani ona nie zaznali zbyt długiej samotności. Przeciwnie, oboje byli wdrożeni do współżycia z partnerem.

Emil był sam w swoim pokoju, nad młodym małżeństwem, któremu niedawno urodziło się dziecko. Małgorzata równie samotna w domu, gdzie czuła się trochę zagubiona, trochę przestraszona.

Kiedy ją odwiedzał, zawsze po południu, wydawała się czarująca, łatwa w obcowaniu. Może trochę za wiele mówiła o epoce świetności swojej rodziny i o swoim jedwabnym dzieciństwie.

Ale przy tym wszystkim wydawać się mogło, że życzliwie i z humorem odnosi się do całej ludzkości, z wyjątkiem dwóch postaci, które w jej umyśle przybrały cechy zdrajców z melodramatu: ojca i syna Sallenave.

Ci panowie korzystali z bogactw, które jej się należały. Raul Sallenave mieszkał w obszernym apartamencie na bulwarze Raspail i wybudował sobie luksusową willę na wybrzeżu Sekwany, na skraju lasu Fontainebleau.

Biszkopty Doise! Pieniądze Doise'ów! Uczciwość Doise'ów, która przywiodła ich do sprzedaży domów po jednej stronie skweru noszącego ich nazwisko!

Już wówczas mówiono o wyburzeniu całego terenu, na którym miały stanąć czynszowe kamienice, i zwrócono się z propozycjami do Małgorzaty.

— Odmówiłam, rzecz jasna. Wolałabym wyrzec się chleba...

Nie należało jej ufać. Słuchał wszystkiego z uśmiechem. Nie pytała prawie o nic, co jego dotyczyło, i to powinno go było ostrzec!

Jedyną żywą istotą naprawdę ją interesującą była ona sama, z owym orszakiem zmarłych, którzy nadał ją otaczali, tworząc rodzaj ochronnej aureoli.

Dzisiaj już to rozumiał. Nie chciała mieć służącej ani posługaczki, bo nie zniosłaby w domu drugiej kobiety.

A przecież pomoc była jej potrzebna. Byłaby jej potrzebna, gdyby zachorowała, złamała nogę... Nie miała nawet telefonu, żeby kogoś wezwać, bo kazała go wyłączyć.

— Nie ma żadnego powodu, żeby ktoś do mnie dzwonił. Wzdrygałabym się ze strachu przy każdej pomyłce telefonicznej...

Posądzał ją o skąpstwo. Teraz był pewien, że jest skąpa i że to zaważyło na ich małżeństwie. Chciała przez całą dobę mieć do dyspozycji kogoś, komu nie trzeba nic płacić.

Bouin był emerytem. Pewnego dnia wspomniał mimochodem, że gdyby się drugi raz ożenił, wdowa po nim otrzymywałaby połowę jego renty.

Ona nigdy nie mówiła o swoim stanie majątkowym. Jedna strona zaułka nadał do niej należała. Raz na kwartał pojawiali się lokatorzy z opłatą za komorne. Kolejno wchodzili do salonu Bouin nie znał wysokości wpłacanych sum, tak jak nie wiedział, co żona robi z pieniędzmi.

Czy składała je w banku? Czy ktoś inwestował jej kapitały? Napomykała wyłącznie o wydatkach, o reperacjach, jakich od niej żądano, o przeciekających dachach, wymagających naprawy.

— Jakby sprawiało im złośliwą przyjemność psuć, co

się tylko da... Czynsz w sumie nie wystarcza na konserwację domów...

Nic do niego nie czuła, jak się okazało, kiedy sztywna i lodowata leżała w jego ramionach. Był dla niej czymś w rodzaju służącego.

Przesadzał? Być może. Miał wszelkie prawo przesadzać po tym, co mu zrobiła. I miał prawo pić. I palić cygara.

A co się działo, kiedy poi kolacji zapalał w salonie cygaro przed telewizorem? Otwierała na oścież okno i otulała się najgrubszym ze swoich szali, co jej nie przeszkadzało drżeć z zimna, aby dać mu do zrozumienia, że przez niego naraża się na zapalenie płuc.

To był tylko pojedynczy fakt. Takich faktów było sto. Ba, tysiąc. Na przykład zaraz po ślubie zaproponował podział wydatków na gospodarstwo. Wyobrażał to sobie tak, że co miesiąc będzie jej wręczał uzgodnioną kwotę.

Tymczasem Małgorzata wracając z zakupów przynosiła kwitki z wszystkich sklepów i układała je w szufladzie razem z rachunkami za wodę, elektryczność, kanalizację i wywóz śmieci.

Zdumiał się,, kiedy z końcem pierwszego miesiąca oznajmiła:

— Zrobiłam obliczenia...

Z okularami na nosie, domagała się, aby sprawdzał z nią rachunki od dostawców, z pralni i wszystkie inne.

— Sprawdź dodawanie... Tak, zależy mi na tym...

Podzieliła sumę na połowę.

— Co miesiąc będziemy tak robić. To nam oszczędzi nieporozumień.

Poszedł po pieniądze do swego pokoju. Trzymał je w szufladzie komody. Nie miał od niej klucza i nie martwił się o to.

Czy tak się postępuje z człowiekiem, którego się kocha? Czy tak objawia się uczucie, zaufanie?

Kiedy czasem szli razem do kina, każde płaciło za swój bilet.

— Tak jest lepiej...

Podglądała go, kiedy jadł, krzywiąc się z niesmakiem.

jeśli na przykład posłużył się zapałką zamiast wykałaczki. Rzucając pozornie zdawkowe uwagi czy znaczące spojrzenia, piętnowała na każdym kroku jego złe maniery.

Wszystko w nim ją gorszyło. Nie tylko kot, który w nocy spał zawsze przytulony do jego nóg.

— Mój pierwszy mąż miał skórę gładką jak kobieta — oświadczyła pewnego razu, kiedy kręcił i się po pokoju z obnażonym torsem.

Mogło to znaczyć tylko, że jego ciało zarośnięte gęstym czarnym włosem budzi w niej odrazę.

— Zawsze mnie nienawidziła...

Tak jak nienawidziła panów Sallenave. Może z potrzeby nienawiści. Może dla zapełnienia pustki, w jakiej żyła.

Czuł stale za plecami jej obecność, jakby go ukradkiem śledziła.

— Proszę! Dziś nie piłeś wina, tylko coś innego...

Nie myliła się. Spotkał starego kumpla i wypili dwa czy trzy aperitify.

Wiedziała wszystko. Chciała wszystko wiedzieć. Wyczekawszy na sposobną chwilę, zadawała niewinne z pozoru pytania. Żadne nie było naprawdę niewinne. Niektóre nawiązywały do wydarzeń sprzed paru miesięcy, dokładnie przez nią zapamiętanych. Porównywała obecne odpowiedzi z dawnymi.

— Proszę! A powiedziałeś mi...

Chwilami czuł się wręcz jak w szkole wobec nauczycielki, która zawzięła się, żeby go przyłapać na wykroczeniu, i uspokajała się dopiero, kiedy zarumieniony przyznawał się do winy.

— Czy to prawda, że twoja pierwsza żona nie była zazdrosna?

— Prawda...

— To znaczy, że cię nie kochała...

— Myślę, że kochała... Dobrze nam było ze sobą.

— Byłeś z nią szczęśliwy?

— Nie czułem się nieszczęśliwy...

Angela nie zadawała pytań. W ich małżeństwie nie

istniały prawidła. Nawet posiłki nie miały ściśle ustalonych godzin. Jeśli kolacja nie była gotowa, szli do restauracji.

Żadnego sztywnego rozkładu zajęć, sprzeczki rzadkie, też raczej dla rozrywki.

— Korzystałeś z tego?

— Z czego?

— Że nie była zazdrosna...

— Zdarzało się...

— A teraz?

— Jeszcze się nie zdarzyło... Kłamał.

Czuła to. Miała swoje anteny.

— Ale liczysz, że się zdarzy?

— Na nic nie liczę... Nie wybiegam myślą naprzód..,.

— Twoja pierwsza żona nie miała wiele poczucia godności.

— Dlaczego?

— Nie rozumiesz?

— Nie...

— Wiedzieć, że mąż wraca do domu wprost z łóżka innej kobiety, kobiety, której prawie nie zna i która może zaraziła go paskudną chorobą... Spać w tym samym pokoju, myć się w tej samej łazience...

Nie wiedział, co odpowiedzieć, i wpatrywał się w nią wzrokiem, który musiał wydawać się tępy.

— Ja bym na to nie pozwoliła. Powiedziałabym mu: zabieraj się stąd, mój drogi...,

Jak do służącego!

Czy Małgorzata nie śledziła go od czasu do czasu, kiedy wychodził po południu? Podejrzewał ją o to. Bywało, że odwracał się nagle. Dwa razy, co prawda na przestrzeni wielu miesięcy, zauważył ją. Za pierwszym razem weszła do sklepu, za drugim — szybko zawróciła. W domu o nic jej nie zapytał.

Wolał nie myśleć o tych mniej czy bardziej przykrych sprawach, żeby zachować jeszcze nieco radości życia.

Tym gorzej dla niej, jeśli stopniowo nabierała do niego niechęci. Starał się wypełniać sobie dni drobnymi przy-

jemnościami, a poza tym zawsze miał przy sobie wiernego Józefa, który czasem zdawał się mieć do niego żal, że zmienił mieszkanie, że narzucił mu stałą obecność obcego człowieka, jednym słowem — zdradził go.

Czy kiedy wychodził z domu, ośmielała się bić kota? Wątpił w to, za bardzo go się bała. Ale na pewno by jej to sprawiło uciechę.

Znalazła lepsze wyjście. Zabiła go. I odegrała się w ten sposób nie tylko na Józefie, ale i na nimi swoim mężu, który swą obecnością, swym zapachem budził w niej nie mniejszy wstręt niż kot.

Czekała na sposobność przez całe lata. Nie starczyło jej cierpliwości, żeby poczekać jeszcze rok czy dwa, aż zwierzę zdechnie ze starości.

Bouin pił, ale czuł, że umysł ma trzeźwy, był pewien, że widzi sprawy jaśniej, bardziej obiektywnie niż kiedykolwiek. To zwykła dziwka. Wystarczy zobaczyć na fotografiach jej pokracznego męża, słynnego pierwszego skrzypka Opery, aby wiedzieć, że takiego safandułę można było wodzić za nos przez przeszło trzydzieści lat.

Co do jej ojca, Sebastiana, ten gruby niedołęga obwieszony brelokami miał dość grzechów na sumieniu, by córuni w domu wszystko uchodziło na sucho.

Była dziwką już wówczas, kiedy odbywała przejażdżkę po Lasku Bulońskim w landzie zaprzężonym w parę koni. Dziwką w dniu ślubu z Fryderykiem Charmois. Bo istniała też oczywiście fotografia ślubna. W albumie było zdjęć co niemiara. Wytwórnia herbatników widziana od strony ulicy. Dziedziniec wytwórni z. całym personelem firmy Doise, ustawionym w rzędzie po obu stronach Sebastiana.

Stary Artur Doise w swoim fotelu. Tenże w swoim gabinecie. Jego siostra, uczesana jak cesarzowa Eugenia, Inni członkowie rodziny Doise, zwłaszcza starzy, kilka niemowląt na skórze niedźwiedziej i Małgorzata sfotografowana przez narzeczonego na brzegu rzeki, w kapeluszu B dużym rondem, z parasolką w ręku, zakończoną ostrym r/picem.

Album zajmował poczesne miejsce na fortepianie, jak prawdziwy skarb.

Bouin nie miał do niego dostępu. Nigdy nie poprosiła go o zdjęcie. Nigdy przez cały okres małżeństwa nie zaproponowała mu wizyty u fotografa.

Wśród tego wszystkiego jeden jedyny pies z wypielęgnowaną sierścią, rasowy, równie dystyngowany jak ten operowy grajek. Żadnych zwierząt poza tym. Nie było tu dla nich miejsca oprócz papugi, którą Małgorzata kupiła parę tygodni po śmierci męża, żeby jej go zastąpiła.

Papuga, która nie mówi. Może nawet tak było lepiej? Czy Charmois mówił? Udzielał lekcji gry na skrzypcach. Wieczorami przywdziewał frak, białą muszkę i wsiadał do metra na Denfert-Kochereau, żeby udać się do Opery, gdzie wchodził dumnie wejściem dla artystów.

Niech to wszystko krew zaleje!.,.

Trzęsła nim furia. Cierpiał. Wyrządziła mu straszną krzywdę i nie umiał znaleźć sposobu, żeby wziąć odwet.

Nienawidził jej. Gardził nią.

— Ścierwo, zwyczajne ścierwo...

Tęsknił za Angelą, chciało mu się płakać, że jej nie ma, że nie może z nią porozmawiać, szukać u niej pociechy.

Angela była prawdziwą kobietą, ona nie wywodziła się z obrzydliwych biszkoptów. Nawet herbatniki Doise stanowiły złe wspomnienie, zwłaszcza „Francuskie delicje". Szumna i pełna obłudy nazwa, dobrze oddająca mentalność rodziny.

W rzeczywistości na ulicy de la Glaciere produkowano wyłącznie lipną tandetą, łakocie, jakich nikt nie kupuje dla siebie, ale przynosi dzieciom, składając wizytę ich rodzicom, kiedy nie wiadomo, co im ofiarować.

„Francuskie delicje" były robione z kiepskiego ciasta — zupełnie jakby się jadło piasek. Ale pokiwała je warstwa lukru w różnych kolorach, na której, także lukrem, wyrysowane były kwiaty i arabeski.

Kiedy miał trzy lub cztery lata i bawił się na ulicy,

pewna staruszka z sąsiedztwa uwzięła się, żeby przywoływać go przez okno:

— Chodź tu, mały... Mam dla ciebie coś dobrego... Przynosiła pudło „Francuskich delicji", otwierała je jak szkatułkę z klejnotami i mówiła, oczekując objawów zachwytu:

— Wybierz coś sobie...

Mieszkała sama. W dzielnicy uchodziła za nieco stukniętą i utrzymywano, że była niegdyś aktorką. Jedyna na całej ulicy malowała twarz i mały Emil wręcz bał się jej czarnych jak węgiel oczu...

— Zdzira...

Nie był pijany. Bała się zejść. Od czasu do czasu słyszał nad głową lekkie kroki, jakby się skradała. Zawsze się skradała.

— Czy zechciałbyś wyjść, Emil? Już pora, żeby Koko użyła trochę ruchu...

Ponieważ, rzecz jasna, ta papuga nazywała się Koko. Była głupia. Była złośliwa. Ona też nie wybaczyła Bouinowi, że wdarł się do domu i, co gorsza, sprowadził tu to dziwne zwierzę.

Przeżuwał swoje urazy. Wino mu to ułatwiało. Tak jak dokłada się do pieca, ciągle dorzucał nowe krzywdy do dawnych i nagle wstał zdecydowany, że pokaże jej, z kim ma do czynienia.

Czy miał określony zamiar, kiedy na chwiejnych nogach wszedł do salonu?

Zaczął od podniesienia żaluzji, nie tkniętych jeszcze dzisiejszego ranka. Śnieg już topniał, na chodniku po obu stronach ulicy widniały jeszcze białe spłachcie. Jakiś chłopak próbował się ślizgać i Bouina zaskoczyło, że za oknami toczy się zwykłe powszednie życie.

Czyściciel kanałów, stojący obok okrągłego włazu, zabijał rękami dla rozgrzewki. Dostrzegł Bouina za firanką i na pewno pozazdrościł mu, jakby sam nie miał dożyć sześćdziesięciu pięciu lat i doczekać się emerytury. I co wtedy? Jak mu wtedy będzie?

Czy Małgorzata zejdzie wreszcie? Usłyszała skrzyp ża-

luzji. Wyobrażał ją sobie z uchem przyklejonym do drzwi sypialni. Nie dowierzała nikomu, a zwłaszcza jemu.

Papuga w klatce wydała jeden ze swych przeraźliwych okrzyków i Bouin odwrócił się z twardym, złośliwym spojrzeniem.

Czas już, żeby on z kolei okazał się podły. Małgorzata, która ciągle gada o sprawiedliwości, musi się przecież tego spodziewać.

Wpatrzony w ptaka, który wpatrywał się w niego, zrobił dwa kroki w stronę klatki Otworzył ją ostrożnie, wsunął ramię. Papuga rozpostarła skrzydła, zdołał uchwycić jedno w momencie, kiedy cios dzioba rozkrwawił mu palec.

O wyciągnięciu ptaka siłą przez wąski otwór nie było mowy. Owszem, mógłby go udusić. Ścisnął już za szyję, ale nie o to mu chodziło. Wsunąwszy drugą rękę do klatki, wyrwał z ogona pióro, najdłuższe i jaskrawo czerwone. Musiał silnie pociągnąć. Nie przypuszczał, że pióra są tak silnie wrośnięte w ciało. Wyrwał dwa, trzy, cztery...

— No, stara... Ładny widok cię czeka!...

Pięć...

Trochę tak, jakby wyrywał pióra rodzinie Doise.

Sześć...

Teraz już wychodziły garściami, mniejsze, delikatniejsze. Krew z jego palca mieszała się z krwią papugi.

Wreszcie przerwał, wyczerpany zamknął gwałtownie klatkę i nachylił się, żeby pozbierać pióra z podłoga.

Był przybity i zmęczony. Chciał już tylko wrócić do łóżka i zasnąć.

Spojrzał na pstre pióra tworzące jakby bukiet, w jego dłoni. W wazonie na fortepianie stały zawsze nieśmiertelniki. Usunął kwiaty i włożył na ich miejsce pióra, nie mogąc powściągnąć szyderczego uśmiechu.

Przechodząc koło drzwi wyjściowych uchyli! je i cisnął nieśmiertelniki na brudny śnieg.

Minęli się na schodach. Musiała dostrzec zakrwawioną dłoń i przyspieszyła kroku. Raz tylko krzyknęła wszedł-

szy do salonu. Był już wtedy na górnym podeście. Odwrócił się, ale nawet kiedy dotarł do niego miękki odgłos padającego ciała, nie pomyślał, żeby zejść na dół.

ROZDZIAŁ CZWARTY

To nie była jego wina. Małgorzata dobrze o tym wiedziała i kiedy rzucał jej zręcznie na podołek karteluszek przypominający o śmierci kota, nie ośmielała się wspomnieć mu papugi.

Był chory, miał gorączkę. Zadała mu dotkliwy cios, wypił ponad rozsądną miarę i przez ostatnie pół godziny żył jak w dręczącym śnie.

Jeszcze przez chwilę stał, chwiejąc się na nogach, w otwartych drzwiach sypialni. Łóżko żony było zasłane. W pokoju panował porządek, czysto powleczona pościel na jego posłaniu zapraszała do położenia się.

Czy nie był to jeszcze jeden. sposób, by pokazać mu, że jest wzorową żoną znającą swoje obowiązki, że cała wina leży po jego stronie, a ona jest ofiarą?

Najlepszy dowód, że mimo jego brutalności pielęgnuje go, poprzedniego wieczoru zaproponowała, że mu przyłoży plaster musztardowy, dba o jego samopoczucie, zmieniła mu powleczenie przed terminem.

Czy wciąż jeszcze leży na podłodze w salonie, zemdlona lub udająca zemdlenie? Liczyła na to, że się zaniepokoi, zejdzie, przestraszy się, będzie ją przepraszał, może wezwie lekarza.

Zawahał się i w końcu z zawziętą twarzą położył się do łóżka, zostawiając jednak drzwi otwarte.

Nadal miał się na baczności. Gorączka cofała go daleko w przeszłość, kiedy jako dziecko chorował na anginę lub grypę. Wrażenia, myśli raz mętne, to znów nazbyt wyraźne, obrazy jak ze zwidów sennych — wszystko to miało posmak dzieciństwa; a czy teraz na dole nie zachował się jak rozzłoszczony dzieciak?

Przyniosło mu to chwilowo ulgę. Czy jednak naprawdę

mu ulżyło? Czy nie wymógł na sobie siłą, żeby doprowadzić do końca szatański pomysł, który nagłe przyszedł mu do głowy?

Wstydził się. Nie przyznawał się do tego przed sobą. Przede wszystkim nie chciał mieć poczucia winy wobec niej. Marzył, jak w dzieciństwie, o porządnej chorobie, prawdziwej, groźnej dla życia, tak aby lekarz musiał parę razy dziennie nachylać się nad jego łóżkiem.

Małgorzata bałaby się mimo wszystko. Targałyby nią sprzeczne uczucia i skończyłoby się na tym, że to ona wyraziłaby skruchę, jej byłoby wstyd, a nie jemu.

Nie zachoruje. Będzie miał kaca i to wszystko. Będzie kasłał, smarkał, pocił się w swoim łóżku i nikt się nad nim nie użali.

To nie znaczy, że domaga się współczucia. Nikt nie ma prawa tak twierdzić. Nie lubi budzić litości. Jest mężczyzną i zawsze obywał się bez niczyjej pomocy.

Czy aby na pewno?

Oszukiwał samego siebie, odpychając myśli jeszcze nie sformułowane, które nabierając wyrazistości mogły okazać się przykre. Nie przestał nasłuchiwać. I ciągle wahał się, czy nie wstać z łóżka i nie zejść na dół.

— No co, staruszko, zaczynasz rozumieć, że tym razem ci się nie udało?

Śmieszne. Chwilami Małgorzata myliła mu się z matką.

Na dole coś się poruszyło. Chwytał uchem najlżejszy szmer, najcichszy szelest sukni. Najpierw musiała podnieść się powolutku, też ciągle nasłuchując. Kiedy już wstała, wzrok jej padł na pewno na klatkę i ptaka z wyskubanym ogonem, bo dotarło do niego jej łkanie... Szlochając mamrotała jakieś słowa, których nie potrafił rozróżnić. Wyszła na korytarz.

Po prawej ręce stał tam bambusowy wieszak, jeszcze chyba z czasów Sebastiana Doise. Wisiała na nim skórzana kurtka, a z drugiej strony stary zielony płaszcz Małgorzaty.

Domyślił się, że włożyła go i wciągnęła kalosze na

pantofle. Drzwi wyjściowe otworzyły się, zamknęły i na chodniku rozległy się drobne kroki. Podbiegł do okna i zobaczył ją idącą pośpiesznie w stronę ulicy de la Santé. Nie miała nic w rękach. Widać było, że jest wzburzona i jeśli nie gestykuluje, to na pewno porusza wargami, ciągnąc dalej swój dramatyczny monolog.

Dokąd biegła? Czy nie zmierza do komisariatu policji, żeby *złożyć* na niego skargę? Przez chwilę zastanawiał się nad tym, ale po powrocie do łóżka natychmiast zapadł w drzemkę.

Zachował świadomość sytuacji. Zaszły poważne wypadki i kto wie, czy nie zmieni to gruntownie reszty jego życia. Nie mógł przewidzieć, jak ono się teraz ułoży.

Tym gorzej! Tym lepiej! Musiało to w końcu nastąpić. Musiało wybuchnąć. Dość długo znosił podstępne ataki tej starej kobiety.

Chociaż sam nie czuł się bynajmniej starcem, ją uważał za starą kobietę. Starszą niż jego matka, która umarła mając pięćdziesiąt osiem lat.

Ona znajdzie sposób, żeby mieć ostatnie słowo. Kto wie, czy nie strzeliło jej do głowy, żeby poszukać adwokata?

Upłynęło pół godziny i wzdrygał się za każdym razem, kiedy dobiegały do niego odgłosy z zaułka.

Przez całe życie Małgorzata przewidywała różne nieszczęścia, cierpiąc zawczasu, nawet jeśli nigdy nie miały w; zdarzyć. Jej skąpstwo na przykład zrodziło się z chorobliwego strachu przez przyszłością, z pamięci o zrujnowanym ojcu, o wytwórni ciastek, która przeszła w obce pace.

Mogła zachorować, mógł ją nagle tknąć paraliż. Jeśli poprzednio sądziła, że będzie jej doglądał, to teraz już na to nie liczyła. Musiałaby przyjąć pielęgniarkę. Czy będzie w stanie opłacać ją przez wiele lat?

Po nocach straszyło ją widmo szpitala. Wpadała w popłoch na myśl, że może znaleźć się, zdana na cudzą łaskę w obcym łóżku, pod ciekawymi spojrzeniami ośmiu czy dziesięciu pacjentek.

Potrzebowała pieniędzy, choćby po to, by móc płacić za pobyt w prywatnej klinice.

Zastanawiała się nad tym jeszcze za życia Fryderyka Charmois, może nawet za życia ojca.

Bała się wszystkiego, piorunów i wiatru, a przede wszystkim nędzy, z którą już z góry rozpaczliwie się borykała.

— Ona mnie przeżyje...

Często o tym myślał. Mówił jej o tym. Mruknęła kiedyś:

— Oby tak było...

Potem dodała spokojnie:

— Kobiecie samotność mniej ciąży niż mężczyźnie... Mężczyźni nie potrafią dbać o siebie... Są delikatniejsi...

I w ten sposób, o czymkolwiek by nie rozmawiali, w końcu racja była po jej stronie. Najlepszy dowód, że i -teraz dzielnie maszeruje nie wiadomo dokąd po śniegu i mrozie, podczas gdy on leży zgnębiony w łóżku, biadolący, pełen wstrętu do samego siebie.

Kroki... Kroki dwojga ludzi... Kobiety i mężczyzny... Klucz obraca się w zamku...

— Proszę, panie doktorze...

Nie rozumiał, po co sprowadziła lekarza, chyba że chodzi nie o nią, ale o niego. A jeśli wezwała psychiatrę, żeby go zamknąć w domu wariatów?

Weszli do salonu zamykając za sobą drzwi i do Bouma docierał już tylko stłumiony szmer głosów. Trwało to długo. Na próżno usiłował cokolwiek zrozumieć. Domyślał się już, że mężczyzna, którego nazywała doktorem, jest weterynarzem.

Istotnie tak było. Ściągnęła weterynarza, żeby leczył papugę. Nie mylił się. Nareszcie otworzyły się drzwi salonu, potem drzwi wyjściowe i kiedy rzucił się do okna zobaczył plecy mężczyzny niosącego klatkę okrytą flanelowym kocykiem, którym zwykle osłaniano ją na noc.

Położył się z powrotem do łóżka, odczekał jeszcze chwilę i w końcu zasnął.

Potem słyszał znajome odgłosy, bardzo dalekie, w innym świecie. Rozpoznał kroki starej kobiety na podłodze pokoju i brzęk talerza czy może filiżanki na marmurowym blacie nocnego stolika.

Nie otworzył oczu. Kroki oddaliły się. Schodziła ze schodów. Nadal nie ruszał się i czuł, jak powoli na czole występują mu krople potu. Bawił się tym. Starał się odgadnąć, gdzie pojawi się następna kropla, na skroni bzy pośrodku czoła, czy, rzadziej, w okolicach nozdrzy.

Uchylił powiek i zobaczył kubek, z którego unosił się jeszcze lekki obłoczek pary. Nie był głodny. Nie chciał tknąć jedzenia, które przyniosła mu z poczucia obowiązku albo z litości.

Kto wie, czy nie zamierza pozbyć się go, tak jak pozbyła się kota?

Po raz pierwszy przyszła mu wówczas do głowy ta koncepcja, jeszcze mglista, w którą naprawdę nie wierzył. Zrodziła się z gorączki i z nadmiaru wypitego wina.

— To by jej dopiero dogadzało... Odziedziczyłaby rentę i nie musiałaby dłużej znosić mnie w domu...

Tkwiła w tym sprzeczność, której wołał nie dostrzegać. Skoro wyszła za niego za mąż, żeby ustrzec się przed samotnością i zapewnić sobie bezpłatną pomoc w razie potrzeby, nie miała powodu życzyć mu śmierci.

Ale czy zastanawiała się nad tym, co robi? Czy nie zapamiętała się w nienawiści? W nienawiści, która nie poczęła się tego ranka, nie miała nic wspólnego z papugą, ale sięgała zamierzchłych czasów, może jeszcze — jakkolwiek brzmi to głupio — okresu, zanim go poznała.

Pamiętał jej zimne, twarde spojrzenie, kiedy po długim wahaniu położył się na niej, chcąc z nią żyć jak mąż z żoną. Gdy tylko wszedł w nią, nie bez trudu, nagle cała zesztywniała, jakby instynktownie chciała zrzucić z siebie obce męskie ciało.

Odczekał minutę, mając nadzieję, że podda mu się, ale nie stało się tak, wręcz przeciwnie, i zawstydzony odsunął się, jąkając przeprosiny.

— Dlaczego? — zapytała bezbarwnym głosem.

— Dlaczego cię przepraszam?

— Dlaczego przerwałeś? Jeszcze ci przecież nie było przyjemnie... Jestem twoją żoną, to także należy do moich obowiązków.

Owo „także" często odżywało mu w pamięci. Co właściwie miało oznaczać? Co jeszcze; musiała znosić z chrześcijańskiej pokory? Jego cygara?! Jego nieokrzesane maniery? Wspólną sypialnię?

Na piętrze znajdowały się dwa nie zamieszkane pokoje: jeden służący za rupieciarnię i drugi — dawny panieński pokój Małgorzaty, zachowany bez zmian, w którym każda błahostka pozostała na swoim miejscu i który na pewno traktowała jak święty przybytek.

Pokazała mu go tylko jeden jedyny raz, od progu, żeby nie postawił tam stopy. Drzwi były zawsze zamknięte na klucz, otwierała je, kiedy nie było go w domu, tak w każdym razie przypuszczał.

Teraz przeszła do kuchni. Posila się mimo swoich zmartwień. Spróbował wydobyć się z zamroczenia i podparłszy się łokciem, sięgnął po kubek z wystygłym już bulionem jarzynowym.

Nieufnie powąchał go, umoczył wargi, stwierdził, że płyn ma szczególny posmak.

Może on z kolei odgrywa komedię? Gdyby miała zamiar go otruć, nie zabrałaby się do tego tak prędko po śmierci kota i po incydencie z papugą.

Mimo to wstał, poszedł boso do ubikacji, wylał zawartość naczynia i zadowolił się sucharkiem leżącym na talerzyku obok kubka.

Nie był głodny. Nie ogolił się ani nie wziął prysznicu i czuł się brudny.

Było to ciężkie i przykre popołudnie, takie momenty człowiek stara się potem wyrzucić z pamięci. To spał, to znów budził się, za którymś razem była już noc i w zaułku paliła się gazowa latarnia.

Nasłuchiwał, ale nie dotarł do niego żaden dźwięk. Czatował tak przez dobry kwadrans i ciążyła mu sa-

motność, czuł, że Małgorzaty nie ma w domu. Był zdany na samego siebie i trawił go niepokój.

W końcu zdecydował się zejść po cichu na dół. W salonie nie było światła ani ognia w kominku. Panował tu dojmujący chłód. Brak klatki wytworzył pustkę i salon zdawał się większy, fortepian olbrzymich rozmiarów.

W jadalni i kuchni też nie paliło się światło, ale wszędzie było czysto i porządnie.

Przez przekorę wypił jeszcze jedną szklankę wina. Wcale nie miał na nie ochoty. Wydało mu się cierpkie. Potem wrócił na górę bardzo szybko, z obawy, że żona zaskoczy go na parterze.

Nigdy dotychczas nie przejmował się tak poczynaniami Małgorzaty, które nagle nabrały ogromnego znaczenia.

Znów zdrzemnął się, nagle przez sen posłyszał, że wróciła. Oboje znali tak dobrze wszystkie domowe odgłosy, aż do najlżejszych drgnień powietrza!

Nie rozpaliła ognia na kominku w salonie. Może w piwnicy nie było nałupanych szczap, bo przez te trzy dni zapas chyba już się wyczerpał.

Najpierw zatrzymała się w kuchni. Potem weszła na górę, stanęła nad nim, przyglądając mu się w świetle lampy wiszącej na schodach.

Udał, że śpi. Zabrała filiżankę i talerz. Musiał potem pójść do ubikacji i żeby nie zdradzać swojej obecności, nie spuścił po sobie wody.

Znowu zasnął. Ona też się położyła, bo kiedy obudził się gdzieś w środku nocy, usłyszał jej regularny oddech.

Następny dzień miał taki sam przebieg. Wyszła dwa razy, najpierw po sprawunki, potem najpewniej wybrała się do weterynarza, jak idzie się z wizytą do chorego w szpitalu.

Czy Koko zdechnie? Wcale tego nie chciał, choć przerażała go myśl o ich przyszłych sam na sam w salonie z ptakiem pozbawionym ogona.

Skorzystał z nieobecności żony, żeby zejść i wziąć sobie kawałek chleba. Po południu, kiedy poczuł się go-

rzej, dostrzegł ją jak przez mgłę koło łóżka, z twarzą bez wyrazu i oczami tak zimnymi jak wówczas, kiedy z całą naiwnością położył się na niej.

— Chcesz, żebym wezwała lekarza?

Pokręcił przecząco głową.

— Potrzebujesz czegoś?

Ten sam ruch głową. Nie grał komedii. Przebywał daleko od niej, w innym świecie.

Wyszła znowu około piątej i drugi raz zszedł na dół, żeby coś przekąsić. Miał miękkie nogi, kręciło mu się w głowie. Trzymał się poręczy, jak człowiek ciężko chory, który boi się przewrócić.

Znalazł plasterek szynki w lodówce i zjadł go trzymając w palcach, potem przegryzł kawałkiem sera. To była kolacja Małgorzaty, ale przecież mogła kupić sobie co innego.

Nazajutrz z powodu ciszy domyślił się, że jest niedziela. Świat znieruchomiał i tylko z oddali dochodziły dźwięki dzwonów.

Poszła na mszę. Nie czuł się już chory. Był bardzo głodny. Ale przede wszystkim chciał pozbyć się zapachu potu i ogolić twarz.

Był bardziej osłabiony, niż sądził, ale nie zrezygnował z prysznicu. Ręce mu drżały, kiedy przesuwał brzytwą po policzkach. Wypił dwa jajka na surowo. Żeby je przyrządzić, musiałby posłużyć się patelnią lub rondelkiem, i stchórzył na myśl, że trzeba będzie je potem umyć.

Jak teraz, kiedy nie miał żadnego powodu, by leżeć w łóżku, ułożą się sprawy między nim a Małgorzatą?

Włożył czystą piżamę, zszedł w szlafroku do piwnicy narąbał drzewa, zaniósł je do salonu i rozpalił ogień w kominku. Podniósł żaluzje, jakby chciał uprzedzić żonę, że jest już zdrowy. W ten sposób, zanim wejdzie do domu, będzie miała dość czasu, by postanowić, jaką ma przybrać postawę.

Ona musi zdecydować, a nie on. Ona jest właścicielką domu. Większa część mebli do niej należy. Niektóre stały na tym samym miejscu, już kiedy się urodziła. Fry-

deryk Charmois, choć współżyli ze sobą ponad trzydzieści lat, prawie nie pozostawił po sobie śladów, prócz paru fotografii i skrzypiec w ściennej szafie zamkniętej na klucz.

Bouin mógłby się stąd wynieść pod nieobecność Małgorzaty, zabierając swoje rzeczy. Wystarczyłyby ręczne taczki. Myślał o tym. Pomyśli znowu, kiedy odzyska równowagę.

Był niespokojny. Sekundy, minuty upływały powoli. Przez chwilę szukała po omacku kluczem, zanim trafiła do zamka i rozległ -się znajomy chrobot. Jeśli w ciągu tych paru lat tak bardzo zdążył przywyknąć do szmerów, zapachów, drgnień powietrza w tym domu, czym każda najdrobniejsza zmiana musiała być dla Małgorzaty, która spędziła tu całe siedemdziesiąt jeden lat swego życia?

Weszła do jadalni, gdzie nigdy nie jadali posiłków, ale gdzie niegdyś rodzina zbierała się wokół owalnego stołu, pod lampą, naftową, przerabianą kolejno najpierw na lampę gazową, a potem na elektryczną.

Była w kuchni. Nie została tam długo, ale otworzyła lodówkę, wiedziała więc, że zjadł dwa jajka.

Weszła na górę, otworzyła drzwi swego panieńskiego pokoju. Niecierpliwił się, miał jej za złe, że trzyma go w napięciu. Czy nie robi tego umyślnie, aby go ukarać?

Jej panieński pokoik był obity kretonem w kwiatuszki. W jednym kącie stało biureczko, przy którym przed pięćdziesięciu łaty zwierzała może pamiętnikowi swoje dziewczęce myśli i uczucia.

Gdyby znał ją wówczas... Ale był wtedy tylko nieokrzesanym uczniem murarskim z prostackimi manierami, na którego nie raczyłaby nawet spojrzeć.

Trzasnęły drzwiczki samochodu. To inżynier zapalił silnik i wrócił do mieszkania po resztę rodziny. O tej porze roku nie jeździli na wieś. Na pewno spędzą niedzielę u rodziców jego lub jej, u brata czy siostry na przedmieściu albo też gdzie indziej.

Każdy tu żył w kręgu mniej lub bardziej zamknię-

tym. Ich krąg, Małgorzaty i jego, wytyczały ściany domu, w którym nikogo poza nimi nie było.

Nigdy nie odnosił tego wrażenia przy Angeli, może dlatego że przebywali w domu rzadko, tylko po to, by jeść, spać lub się kochać.

A przecież nie mieli wielu przyjaciół. Wychodzili, szli gdziekolwiek, zlewali się z tłumem, w którym nie czuli się osamotnieni.

Czy mieszkając naprzeciwko, w jednym pokoju z łazienką, czuł się samotny? Nie myślał o tym. Nie był ani smutny, ani markotny i nigdy nie nękało go poczucie, że porusza się w próżni.

Tutaj zadawał sobie pytanie, czy przedmioty, meble, bibeloty istnieją naprawdę. Wszystko miało swoje miejsce niezmienne, na wieczność.

Kiedy Małgorzata oglądała telewizję, zdarzało mu się rzucić okiem na jej profil i widząc ją zamarłą w bezruchu, aż dziwił się, że słyszy jej oddech.

To ona chciała go na męża ze strachu przed tą martwotą i ciszą. Kiedy oboje zasiedli w kuchnia by wypić po kieliszku jej obrzydliwego likieru, nagle zdała sobie sprawę, że coś się odmieniło, że w domu zatliła się iskra życia.

Żeby mężczyzna tu pozostał, żeby mogli żyć we dwoje bez grzechu, musiała wyjść za niego, i pewnego pięknego ranka stali się parą małżeńską.

Przywiędłą parą. Czy ludziom, którzy na nich patrzyli, sąsiadom, dostawcom, nie wydawali się komiczni i godni politowania?

A co dopiero pomyśleliby sobie, gdyby widzieli, jak się zachowują sami w domu?

Zamknęły się jakieś drzwi. Kroki. Drugie drzwi. Czekał, aż zejdzie ze schodów. Teraz stoi już na korytarzu i waha się. Wreszcie sztywna, z nieprzeniknioną twarzą weszła do salonu. Stanęła na wprost niego. Skrzyżowali spojrzenia, chłodne, obojętne. Koniuszkami chudych, drżących palców podała mu skrawek papieru.

Chwilę odczekał, nie czytając, co napisała. W końcu

rzucił okiem na kartkę, ona zaś skierowała się do swojego fotela i usiadła, podniósłszy z niego robotę na drutach.

Zastanowiłam się dobrze. Jako katoliczce nie wolno mi myśleć o rozwodzie. Bóg związał nas jako męża i żonę i musimy żyć pod jednym dachem. Nic jednak nie zmusza mnie do odzywania się do ciebie. I oproszę usilnie, abyś i ty do mnie nie mówił.

Podpisała wysokim i równym pismem, którego nauczyła się u zakonnic: „Małgorzata Bouin."

*

* *

Nazajutrz po raz pierwszy, odkąd razem mieszkali, sam posłał łóżko, podczas kiedy ona słała swoje.

Nie po to, żeby jej zrobić na złość. Był już zdrowy. Miał jasny umysł. Skoro nie mówią do siebie, skoro nic już ich. ze sobą nie łączy prócz podpisu w rejestrze urzędu stanu cywilnego i w księgach parafialnych, to oczywiście nic od niej nie powinien przyjmować.

Było to może dziecinne, ale zależało mu na tym i kiedy zobaczył, że szykuje się do wyjścia po sprawunki, napisał na kartce:

Będę jadał poza domem

Postępował z nieposzlakowaną uczciwością, oszczędzając jej gotowania na dwie osoby, jako że postanowił nie jeść nic przyrządzonego jej ręką.

Zjadł posiłek w pobliskiej restauracji, i nie odezwał się do nikogo, zrezygnował z udania się do kafejki na placu Denfert-Rochereau, gdzie mógłby spotkać znajomych.

Nie przyznając się do tego przed sobą, śpieszył się, by wrócić i zobaczyć, co ona robi. Ale w domu przy skwerze Sebastiana Doise nie zastał nikogo i nie wiedział,

co z sobą począć. Speszyło go to. Nigdy jeszcze nie zastanawiał się, czym wypełnić czas.

Była trzecia po południu. Otworzył lodówkę, chcąc w miarę możności zorientować się, co ona jadła. Znalazł tam resztki pasztetu, dwa kartofle, każdy oddzielnie owinięty w papier, i zieloną fasolkę w garnuszku.

Wczoraj i przedwczoraj wyszła z domu później. Czy miało to znaczyć, że dziś udała; się gdzie indziej?

Kręcił się bez celu, wszedł na piętro, otworzył szafę i stwierdził, że włożyła nie wełniany płaszcz, lecz karakułowe futro, które nosiła zazwyczaj tylko w niedzielę.

Nie mogąc jej wypytać po powrocie, będzie musiał, żeby zaspokoić ciekawość, szpiegować ją, zgadywać.

Czy papuga zdechła?

Miał to sobie za złe, choć postanowił stanowczo nigdy się do tego nie przyznać. A czy ona żałuje, że otruła jego kota?

Rozpalił na nowo ogień w kominku i czytał gazetę, kiedy wróciła, weszła na pierwsze piętro, potem zeszła do kuchni. W salonie pokazała się tylko na chwilkę, żeby zabrać swoją robotę na drutach.

Czy ma zamiar usadowić się w jadalni lub w kuchni, gdzie przecież nie jest dość ciepło?

Puste godziny, bezbarwne, bez blasków i cieni, wypełnione myślami, z których nie jest się dumnym, rozważaniami jałowymi lub wręcz śmiesznymi:

— Kto wie, czy teraz nie spróbuje mnie otruć...

I nagle zadawał sobie pytanie:

— Czy zmartwiłbym się, gdyby umarła?

Nie! Nie byłby smutny. Ani nieszczęśliwy. Może brakowało by mu jej. Nie lubi, jak ludzie umierają. Nie dlatego że ich kocha, ale śmierć napawa go grozą. W ich wieku jaką każde z nich miało szansę, że pożyje jeszcze długo?.

Zdarzało mu się, że kiedy zasypiał leżąc na wznak, krzyżował ręce na brzuchu i jeśli uświadamiał to sobie przed zaśnięciem, skwapliwie zmieniał pozycję, bo w takiej układają zmarłych, zanim wetkną im w palce różaniec.

Gdzie by ustawiono katafalk i gromnice? W sypialni?

W salonie? Wyobrażał sobie szczegółowo moment wnie-Bienia trumny, pachnącej jeszcze świeżo spiłowanym drzewem.

Nie, chciał umrzeć pierwszy. Nie chciał też, żeby ona ii marła. Trzeba przestać o tym myśleć. Wolał wyjść z domu, chodzić po ulicach mimo mrozu i wichury. Bo po śniegu zerwał się ostry wiatr, pędzący chmury po niebie.

Nie odważył się wejść do kuchni okupowanej przez Małgorzatę, żeby wypić swoją szklankę wina. Do Nelly nie było daleko, postanowił wpaść do niej bez ściśle określonych zamiarów. Inaczej niż zwykle.

Znał Nelly dawno, przeszło dziesięć lat, prawie piętnaście. Przychodził do jej malutkiej kafejki przy ulicy des Feuillantines, jeszcze kiedy żył jej mąż, Theo, jak wszyscy go nazywali. Nad wąską i ciemną witryną widniał żółty napis na brązowym tle: „Au Petit Sancerre."

Schodziło się tam po jednym stopniu z niebieskiego kamienia. Podłoga była wyłożona czerwonymi płytami, po których walały się trociny.

Lada mieściła się w głębi, koło oszklonych drzwi kuchennych, zasłoniętych cieniutką firanką.

Póki żył Theo, bywali tu przeważnie stali goście, inni o każdej porze dnia: wcześnie rano robotnicy wpadający na kawę lub białe wino po drodze na płac budowy, polem mieszkający w pobliżu kupcy i rzemieślnicy, którzy doceniali wino znad Loary i dobry humor gospodarza.

Theo miał rumianą cerę, niemal koloru płyt posadzki. Jego najważniejszym zajęciem było schodzenie do piwnicy, gdzie rozlewał wino do butelek; około dziesiątej znikał w zapadni za ladą.

Żona zastępowała go przy bufecie, stojąc dokładnie na klapie zapadni.

— W ten sposób jesteś pewna, że ci nie umknie — żartowano.

Nelly była to jędrna dziewczyna o dwadzieścia lat młodsza od męża. Już wówczas Bouin nie był jedynym mężczyzną korzystającym z nadmiaru jej temperamentu.

Była zawsze gotowa do obłapki, tak po prostu, jak

inni pili wino. Pewnego dnia, kiedy Emil zapytał, czy nigdy nie nosi majtek, odpowiedziała kpiąco, ale szczerze:

— Mani ryzykować, że stracę okazję?

Wobec stałej prawie obecności męża i faktu, że kafejka była otwarta dla wszystkich, a także topografii lokalu, korzystanie z okazji było utrudnione i wymagało pośpiechu.

Najłatwiej stosunkowo było Wcześnie rano, koło ósmej, bo Theo o tej porze robił zwykłe sprawunki w dzielnicy. Wystarczało jednego spojrzenia, by Nelly oparta leniwie o ladę zrozumiała, o co chodzi. Sama też odpowiadała spojrzeniem mówiącym „tak" lub „nie". Prawie zawsze „tak".

Już po chwileczce przechodziła do kuchni i Bouin szedł w ślad za nią. Przy zamkniętych drzwiach sami byli niewidoczni, widząc jednocześnie przez tiul firanki, czy ktoś wchodzi do kafejki.

Trzeba było robić to na stojąco, w ściśle określonym miejscu. Podkasywała suknię gestem tak naturalnym, że nie był nieprzyzwoity, nadstawiała pośladki, białe i jędrne.

Czy jej to też sprawiało przyjemność, czy tylko udawała? Zastanawiał się nad tym nieraz i nie umiał sobie odpowiedzieć. Może była zawsze chętna właśnie dlatego, że nigdy nie doznawała pełnego zaspokojenia?

W razie nadejścia jakiegoś gościa czy nawet męża łatwo było wykonywać manewr: wystarczało wyjść drugimi drzwiami, prowadzącymi na tyły budynku, i stamtąd na ulicę.

Chyba postarzała się, od kiedy pierwszy raz odważył się ją zaczepić, ale ponieważ sam w tym. czasie nie odmłodniał, wcale tego nie dostrzegał.

— Szklaneczkę sancerre...

— Dużą? W niebieskich bamboszach wyłoniła się z głębi kuchni, gdzie stawiała rondel na ogniu. Odgarnęła dłonią włosy które zawsze opadały jej na policzki.

— Myślałam, że już nie żyjesz...

Nie w porę poruszyła ten temat, ciągle towarzyszyła mu teraz myśl o śmierci Józefa, papugi lub też, kto wie, własnej może, dziś czy jutro.

— Czy to prawda, że ożeniłeś się drugi raz?

Miała szczodre usta o pełnych różowych wargach, zawsze lekko rozchylone nad ciągle jeszcze pięknymi zębami, i wilgotne spojrzenie. Z łokciami na ladzie, z podbródkiem opartym na dłoniach, ofiarowywała spojrzeniu Bouina przedziałek między białymi piersiami.

Odkąd ją znał, zawsze ubrana była na czarno, od tylu łat w tej samej, wydawałoby się, sukni.

— Prawda...

— Podobno zrobiłeś niezłą partię, bogata pani, właścicielka całej ulicy...

Ten temat rozmowy też mu nie odpowiadał i wychylił swoją szklankę.

— Nalej mi jeszcze jedną. A ty się nie napijesz?

— Kieliszek smorodinówki...

Nie bardzo wiedzieli, o czym rozmawiać. Zastanawiał się, czy rzucić jej porozumiewawcze spojrzenie.

— To nie ta drobna starsza pani, w kostiumie lilaróż, Z którą widziałam cię jesienią na ulicy Saint-Jacques?

Musiał to być pogodny słoneczny dzień, bo fiołkowy kostium Małgorzaty był dość lekki i nosiła do niego zwykle biały kapelusz.

— Jak to życie mija, co?... Szkoda, że tak rzadko się pokazujesz... Jesteś na emeryturze?

— Od niedawna.

— Tu jest spokojnie... Starzy powoli się wykruszają... Młodzi nie lubią takich miejsc... Dla nich to przeżytek i nie mylą się zresztą... Czasami tak sobie myślę, że może lepiej byłoby położyć klucz pod drzwiami i resztę życia spędzić na wsi...

W jakim też może być wieku? O ile się orientował, miała około trzydziestki, kiedy pierwszy raz poszedł za nią do kuchni. Theo umarł na skrzep już siedem lat temu. Miała więc dzisiaj mniej więcej czterdzieści pięć lat i jej twarz nadal była gładka.

Nic nie zmieniło się w jej zachowaniu, odkąd została wdową.

Była wolna. Nikomu nie musiała zdawać rachunków. A jednak nigdy nie zaprosiła go do swojego pokoju na górze. Nigdy nie widział jej nagiej i ich stosunki pozostały tak samo ukradkowe.

Każdy mógł ją mieć prawie: jak dziewczynę uliczną, a przecież odczuwała potrzebę zachowania własnego kącika, swojej prywatnej dziedziny, dokąd nikt nie miał dostępu.

— Schudłeś...

— Tak, trochę...

— Nie czujesz się dobrze?

— Miałem grypę.

— Masz kłopoty? Nie układa ci się z żoną?

— Ależ tak...

Przyglądała mu się, jakby czytała w jego myślach. Kot też patrzył na niego w ten sposób.

— No, dość tego, nie myśl o tym więcej... — rzuciła, jakby w odpowiedzi na zwierzenia, których wcale jej nie poczynił.

I prostując się dała mu znak — przymrużyła oko, ledwie dostrzegalnie skinęła głową.

Nie ośmielił się odmówić. Bo przecież wchodząc do kafejki powinien był spodziewać się, co nastąpi. Czy nie po to właśnie tu przyszedł? I czy nie będzie to swego rodzaju próba?

Poszedł za nią. Przyjrzała mu się ze śmiechem.

— Przyznaj, że zawahałeś się... Przez chwilę myślałam, że się wykręcisz... Nie miałeś ucieszonej miny... Pokaż, czy jesteś zawsze taki sam...

Bawiło ją to. Może na tym polegał cały sekret. Jeśli godziła się tak łatwo na męskie pieszczoty, jeśli prowokowała je ze spokojnym bezwstydem, to chyba nie dlatego, żeby zaspokoić potrzeby seksualne, ale dlatego, że mężczyźni ją bawili.

— Dobrze!... Teraz lepiej...

Bał się, że mu się nie uda, i oto poczuł, że wchodzi

w dobrze znane ciało, jak wtedy, kiedy był o piejtnaście lat młodszy, jak w czasach Angeli, jak zanim ożenił się z Małgorzatą.

Przyszła mu do głowy dziecinna myśl. Miałby ochotę, żeby zjawiła się tu jego żona i zobaczyła go w tej sytuacji... Wyobrażał ją sobie w fiołkowym kostiumiku, tym samym, o którym przedtem mówiła Nelly, z kamienną tworzą, taką jak wczoraj i dzisiaj rano.

Z tej kuchni dom przy skwerze Sebastiana Doise wydawał się nierzeczywisty. Tak jak sama Małgorzata i cała rodzina Doise, ów jegomość z zegarkiem na łańcuszku i założyciel wytwórni biszkoptów, mąż ze skrzypcami udający się we fraku do Opery, półmrok panujący w pokojach, szczapy smutno płonące w kominku i wieczory Spędzane w milczeniu w ciemności przed telewizorem.

Przedłużał sprawę, jak mógł, chcąc zachować ten stan ducha.

— Pilnujesz drzwi? — spytała zadyszana.

Jego zadaniem było sprawdzać przez firankę, czy nikt nie wchodzi.

— Tak...

Znieruchomiał, przez chwilę łapał powietrze ustami, Nelly opuściła suknię.

Skończyło się. Została tylko kuchnia, prawie równie ciemna jak kuchnia w ich domu, zapach porów zmieszany z wonią potu i skwaśniałego wina, która przenikała cały dom.

— Zadowolony?...

— Dziękuję...

Dziękował szczerze. Odczuwał potrzebę wyrażenia jej wdzięczności. Tyle razy sprawiła mu przyjemność, o nic nie prosząc, nie oczekując niczego w zamian.

Inni, którzy też z tego korzystali tak jak i on, na pewno wśród kumpli traktowali ją jak dziwkę.

Emil żywił dla niej wdzięczność i czułość. Miałby ochotę długo z nią rozmawiać, odwiedzać ją w jej pokoju, naprawdę się z nią zaprzyjaźnić. Kiedy owdowiał, myślał

o niej niejeden raz prawie całkiem serio, gdyż Theo już wtedy nie żył.

Peszyło go, rzecz jasna, że tylu mężczyzn znało drogę do kuchni. Zdawał sobie sprawę, że nigdy nie byłaby wierną żoną. Ale czy Angela była mu wierna? Nie wiedział i wolał nie zastanawiać się nad tym.

Najbardziej podobała mu się u Nelly jej spontaniczna naturalność. Rozumiał ją. Lubił ją bardzo. Robił sobie teraz wyrzuty, że od tak dawna jej nie odwiedzał.

Może, gdyby regularniej zachodził do kafejki, ustrzegłby się od uroku.

Bo rzucono na niego urok i dlatego stracił kontakt z resztą świata. Spotykał na ulicach ludzi, ale ich nie widział. Zapomniał już, co to jest kobieta, dziecko, śmiech czy płacz.

Żył w urojonym świecie, jednocześnie wyrazistym i nieuchwytnym. Znał najdrobniejsze kwiatki na tapecie w salonie, plamy powstałe jeszcze za życia Fryderyka Charmois, fotografie, stopień schodów, który skrzypiał, i szparę w poręczy.

Znał światło o każdej porze dnia i roku, twarz Małgorzaty, jej szczupłą postać, cienkie wargi, zbyt białą i zbyt delikatną skórę na jej piersiach, kiedy rozbierała się wieczorem.

Jakby go coś opętało. Dał się zamknąć i jest teraz więźniem skazanym na dożywocie. Nie powinien był spalić tamtej karteczki. Jej tekst był wymowny. Uważała go za swoją własność i w imię religii nie godziła się, żeby odzyskał wolność.

— O czym myślisz?...

Zdobył się na uśmiech.

— O niczym specjalnie...

— Przecież ty nie jesteś z tych, co robią się potem smutni...

Miło z jej strony, że to powiedziała.

— Wielu mężczyzn wstydzi się i nie chce potem patrzeć na kobietę... Czy wśród kobiet też się takie zdarzają?

Omal jej nie odpowiedział, że zna przynajmniej jedną

taką, która na dodatek wstydzi się, jeszcze zanim zacznie.

Na ogół biorąc Nelly miała rację. Szukał w pamięci przykładów.

— Może dlatego, że jesteśmy bardziej trzeźwe... dorzuciła.

Weszli dwaj klienci, ślusarze lub drukarze, sądząc po szarych kitlach.

— Dwie szklanki białego...

Pozdrowili ją gestem ręki, ukradkiem zerknęli na Emila i dalej ciągnęli rozmowę.

— Wtedy mu powiedziałem prosto w oczy, tak jak tu stoję z tobą: „Jeśli tak, sam pan sobie będzie reperował..." Co ty na to? Masz pojęcie?... Dwadzieścia franków za przeszło trzy godziny harówy?...

Nelly mrugnęła do niego i ponieważ było już ciemno, wyciągnęła rękę, żeby przekręcić kontakt.

— Twoje zdrowie, Justyn...

— Twoje...

Mieli chyba pod sześćdziesiątkę. Nie wiedzieli jeszcze, Jak szybko będą się starzeć.

— Ile płacę?

— Trzy razy sancerre i jedna smorodinówka... Policzę ci dwa franki osiemdziesiąt. Zresztą tak samo policzyłabym innemu...

Znalazł się znów na ulicy, na wietrze, wśród świateł, wystaw, zapachów mijanych sklepów. Wśród mężczyzn,, kobiet, dzieci ciągniętych za rękę, niemowląt w wózkach, które popychano przed sobą. Zawsze tu było to wszystko. Zawsze będzie. Życie płynęło wokół zwykłym nurtem, ale jego zostawiało na uboczu.

Jakby stał się obcy. Małgorzacie przytrafiło się to jeszcze dawniej, zresztą, kto wie, może zawsze była obca.

Czy mała wystrojona dziewczynka na fotografii nie trzymała się już z dala od świata?

Przyglądając się zdjęciu miało się ochotę potrząsnąć nią, obudzić, powiedzieć jej:

— Patrz!...

Patrz i czuj! Dotknij! Drzewa, zwierzęta, mężczyźni....

Jest słońce... Pada drobny odświeżający deszczyk... Będzie sypał śnieg, już sypie... A teraz zrywa się wiatr...

Jest ci zimno... Jest ci ciepło... Żyjesz... Drżysz...

Szedł machinalnie, ze spuszczoną głową, bez potrzeby upewniania się co do kierunku, jak stary koń, który wraca do *stajni.*

Skręcił w zaułek. Panowała tu cisza. 2 kilko, zaledwie okien padało posępne żółte światło. Jeden dom, drugi, wszystkie podobne do siebie. Ostatni. Fontanna przy murze w głębi i mały golasek trzymający rybę, która tryska wodą.

Wyjął klucz z kieszeni. Nim otworzył drzwi, pociągnął nosem, wytarł go chusteczką i skoro już ją miał w ręku, otarł nią też wilgoć z policzka.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Przez pięć dni jadał poza domem, bez przyjemności. Wstawał o szóstej, zamykał się w łazience, schodził, przyrządzał sobie filiżankę kawy lub nawet od razu wypijał szklankę czerwonego wina.

W ciszy i pustce parterowych pomieszczeń przystępował do odrabiania swojej części prac domowych. Przykładał się do tego pilnie, jakby obawiał się przytyku czy wymówki. Przechodziło to u niego wręcz w manię i wieko fortepianu nigdy tak nie lśniło jak obecnie.

Na samym końcu schodził do piwnicy, rąbał drzewo, ładował do koszyka, wnosił do salonu, żeby rozpalić ogień w kominku,

Małgorzata, już ubrana, pojawiała się około wpół do dziewiątej. Nie zwracając uwagi, że obok krząta się mężczyzna, robiła sobie śniadanie, po czym w zielonym płaszczu, który nosiła na co dzień, szła w stronę ulicy Saint-Jacques.

Zdarzało się, że szedł za nią, nawet jeśli nic mu nie było potrzebne, z braku innego zajęcia. Po powrocie do domu układała zakupione rzeczy w lodówce i w kredensie,

wchodziła na górę, żeby się przyczesać, i wyjąć z szafy futro.

Dwa razy dziennie, rano i po południu, udawała się na jakieś tajemnicze spotkanie, prawdopodobnie z weterynarzem, który miał pod opieką papugę.

Bouin nie znał ani jego nazwiska, ani adresu, wiedział tylko — ponieważ dostrzegł go przez okno, jak niósł zasłoniętą klatkę — że jest to niski, utykający mężczyzna w za ciasnym palcie.

Nie śmiał wrócić do kafejki „Au Petit Sancerre", może dlatego, że za bardzo mu się tego chciało. Lękał się swoich myśli o Nelly i zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

U niej nie musiał się mieć na baczności. Odprężał się. Skomplikowane problemy ze skweru Sebastiana Doise zacierały się, traciły wagę, widział ich śmieszne strony.

Jeśli sobie pofolguje, to zacznie tam stale przesiadywać, gnuśnie popijając wino i do woli zabawiając się kuchni.

Nie miał żadnych planów. W domu nic jeszcze nie zostało ustalone. Oboje kręcili się szukając własnego miejsca, właściwego rytmu, po swojemu rozkładając czas, trochę jak orkiestra, kiedy muzycy stroją instrumenty.

Na czwarty czy piąty dzień — już ich nie liczył — poszedł w ślad za żoną zdążającą na popołudniowe spotkani'e. Było już ciemno.

Szła prawie opustoszałą ulicą de la Santé, wzdłuż murów więzienia. Przechodnie byli nieliczni i z daleka słyszało się ich kroki.

Skręciła w ulicę Dareau, też niezbyt ruchliwą, i w końcu, już koło torów kolejowych, dotarła do ulicy Saint-Gothard.

Nie interesowała się tym, czy ktoś ją śledzi. Maszerowała dość szybko jak na osobę w jej wieku. Zatrzymała się przed dziwaczną budowlą, dawną fermą, jak się wydawało, gdzie za kratą ogrodzenia znajdował się wewnętrzny dziedziniec, na prawo domek w wiejskim stylu,

a na dwóch pozostałych bokach — budynki niskie jak obory.

Kiedy przechodziła przez brukowane podwórko, w rzekomych oborach rozszczekały się psy, weszła na stopnie czegoś w rodzaju ganku, zadzwoniła i czekała, aż drzwi się otworzą.

Gdy weszła do środka, zbliżył się do kraty i przeczytał na emaliowanej tabliczce:

DOKTOR PERRIN KLINIKA
WETERYNARYJNA

Bywała tu tak, jak odwiedza się chorego w szpitala, i wizyty świadczyły, że papuga jeszcze żyje.

Żałował swojego uczynku, mimo że otruła mu kota. Chciałby jej to powiedzieć, ale już było za późno. Nie miał zresztą ochoty sprawić jej satysfakcji upokarzając się przed nią.

Bo czy ona żałuje, że tak postąpiła. Nie. Nie należy do kobiet mających wyrzuty sumienia. Ma zawsze rację. Jest pewna siebie. Kroczy prostą drogą, wystarczy popatrzeć na jej wyniosłą minę, zwłaszcza w niedzielę, kiedy wraca z kościoła. Jej odzież wydziela wtedy zapach kadzidła. Wydaje się, że oczy są jaśniejsze i czystsze, jakby przed chwilą spoglądały na błogie rozkosze nieba i wiecznego żywota.

Nie cierpiał niedziel, brak mu było hałasu, nie lubił opuszczonych żaluzji sklepów, ludzi spotykanych na ulicach, gdzie nie mieli nic do roboty. Nie chodzili tak jak w dzień powszedni, wałęsali się bez celu lub też, jeśli dokądś zmierzali, wcale im się nie śpieszyło.

Oni także nudzili się, czuli się nieswojo w odświętnych ubraniach — ciągle w strachu, że dzieci się ubrudzą. Kiedy był mały, prawie co niedziela wybuchały kłótnie między jego ojcem i matką, skądinąd zacnymi ludźmi, przywykłymi zginać karku i przyjmować życie takim, jakie jest.

— Idź na spacer...

Szedł sobie nad kanałem lub nad Sekwaną, dawano

mu trochę drobnych, latem na lody, zimą na jakieś cukierki — wybierał landrynki, które mógł trzymać długo w ustach.

Nawet na galarach rodziny przybierały wymuszone pozy i pod wieczór nie można było uniknąć pijanych mężczyzn.

Tej niedzieli restauracja, w której zwykłe jadał, była zamknięta i musiał iść aż na aleję du General-Leclerc, żeby zjeść obiad. Nieco później przeszedł koło kafejki „Au Petit Sancerre", gdzie też żaluzje były opuszczone.

Co Nelly robiła w niedzielę? Na pewno nie biegała na mszę. Chyba długo leżała w łóżku, leniwie krzątała się po pokoju, po kuchni, po ciemnej kafejce, gdzie nikt jej w ten dzień nie przeszkadza.

Może po południu wybierała się do kina? Nigdy nie spotkał jej na ulicy. Znał ją tylko w czarnej sukni i w domowych pantoflach.

Małgorzata nie poszła do kliniki doktora Perrin, która też była nieczynna w niedzielę. Została po południu w domu i siedzieli oboje w salonie, wpatrzeni w telewizor, gdzie szedł mecz piłki nożnej. Nadano parę piosenek. Film rysunkowy. Potem western.

Zabijali czas. Małgorzata robiła na drutach. Parę razy wydało mu się, że jej twarz łagodnieje, że w pewnej chwili podniosła głowę, jakby miała już, już do niego się odezwać.

Trochę mu jej było żal. Ponieważ nigdy w życiu nie umiałaby zdobyć się na pierwszy krok, sam miał ochotę to zrobić. On też niemal otwierał już usta, żeby powiedzieć na przykład:

— Zachowujemy się jak dzieci...

Nie. Nie zgodziłaby się na takie określenie ich postępowania.

— Słuchaj, Małgorzato, a gdybyśmy spróbowali zapomnieć?

Też nie. Nigdy nic nie zapominała. Pamiętała, z dokładnymi datami, każde rozczarowanie, każdą obrazę od najwcześniejszego dzieciństwa, wszystkie swoje zmartwienia.

Chciała czuć się nieszczęśliwą ofiarą nikczemności mężczyzn i wybaczać im jak z łaski.

— Biedna kobieta...

To on popełnił błąd. Nie powinien był się z nią ożenić. Co go pchało, żeby co dzień po południu wracać do małego domku, gdzie częstowała go filiżanką kawy, a potem szklanką wina?

Czy aby nie imponowało mu, że jest właścicielką połowy zaułka, córką Sebastiana Doise, subtelną istotą, nie pozbawioną nieco wyblakłej elegancji w swoich strojach o pastelowych tonach?

Nie myślał o pieniądzach. Nie wprost. Pieniądze widniały jednak na dalszym planie, za rzędem domów, które należały do Małgorzaty, i malec z rybą nabierał wymowy symbolu.

Bouin jakby przypadkiem wtargnął w świat, który dotychczas oglądał tylko z daleka, nie łudząc się ani przez chwilę, że mógłby pewnego dnia zostać do niego dopuszczony.

Czy rzeczywiście został dopuszczony? Naprawił po prostu cieknącą rurę. Pani domu poczęstowała go kieliszkiem likieru, jak robotnika, który ukończył robotę w mieszkaniu.

— Czy nie zechciałby pan wpaść jutro na filiżankę kawy?

W kuchni. Dopiero po dwóch tygodniach zaprosiła go do salonu. Fotografie zrobiły na nim wrażenie, przede wszystkim zdjęcie w landzie zaprzężonym w parę koni i to, na którym w wielkim słomkowym kapeluszu spaceruje nad wodą.

Odnajdywał smak swego dzieciństwa, kiedy to widywał wytworne damy unoszące sukni, by wsiąść do fiakra, lub kiedy w Lasku Bulońskim — był tam zaledwie dwa czy trzy razy, bo mieszkał za daleko — podziwiał amazonki.

— Pani ojciec miał konie?

— Mógł mieć, owszem. Ale wolał wynajmować powóz na cały dzień. Brałam lekcje konnej jazdy w ujeżdżalni.

Zwłaszcza konie działały mu na wyobraźnię.

— Tylko w ujeżdżalni?

- Urządzaliśmy z naszym nauczycielem przejażdżki po lasku.

Z początku lubiła opowiadać o sobie, przeskakując od jednego okresu życia do innego.

- Dwa razy w tygodniu wieczorem mąż zabierał mnie do opery, gdzie miałam zarezerwowany fotel...

Zachowała wieczorową suknię z jedwabiu od Liberty'ego, haftowaną perłami, którą wkładała przy takich okazjach, białe rękawiczki z delikatnej kozłowej skórki, .sięgające powyżej łokcia.

— Proszę jutro nie przychodzić... To koniec kwartału, defilada moich lokatorów...

Przynosili jej pieniądze. Jaki też dochód mogła mieć z. tych siedmiu domów, które nadal do niej należały? Nie miał pojęcia, ale fascynowało go, że w swoim przegrzanym salonie przyjmuje w ten sposób ludzi, którzy składają jej haracz.

Gdyby chciała, mogłaby wcale nie zajmować się gospodarstwem. Sama mu to powiedziała.

— Nudziłabym się- nie mając nic do roboty i z nudów rozchorowałabym się, stałabym się podobna do mnóstwa kobiet w moim wieku, które zajmują się wyłącznie swoi mi przypadłościami...

Usiłował protestować.

— Nie, nie!... Wiem, co mówię... Nie zapominam o dacie swoich urodzin. Ale przysięgałam sobie nigdy nie narzekać... Człowiek starzeje się, kiedy zaczyna się trząść nad swoim zdrowiem...

Z Angelą też czasem spacerowali nad Marną, po stronie Lagny. Idąc poszturchiwali się żartobliwie, a kiedy nie było nikogo w pobliżu, chętnie przewracali się na ziemię osłoniętą wysokimi trawami. Pamiętał zapach Angeli, jej śmiech, gdyż często wybuchała śmiechem podczas stosunku.

— A ciebie to nie śmieszy?... Nie wiem, kto wymyślił tę sztuczkę, ale należy mu się pomnik...

Niedzielne pocałunki miały smak wsi.

Małgorzata na fotografii była rozmarzona, daleka, wyglądała tak krucho, że budziło to w nim chęć chronienia jej.

W gruncie rzeczy poślubił po trosze te fotografie, fortepian połyskujący w półmroku, meble w stylu Ludwika Filipa i Drugiego Cesarstwa, fontannę na skwerze i wysoki komin z ulicy de la Glaciere.

Powinien był wycofać się. Przez swoją naiwność i tępotę nie zrozumiał tego i dlatego ją unieszczęśliwił.

— Może byśmy poszli do kina?

Próbował ją wyciągnąć z domu.

— A co idzie?

— Film kowbojski.

— Nie cierpię bijatyki i strzałów...

Czasem szli do restauracji. Rozglądała się dokoła nieufnie, przecierała serwetką sztućce, kręciła nosem na potrawy, zanim jeszcze zaczęła jeść.

— To jest na margarynie.

Albo:

— Ten kelner powinien był sobie przedtem umyć ręce...

Żyła we własnym, nierzeczywistym świecie, który ubarwiała po swojemu. I nagle okazało się, że musi znosić mężczyznę z krwi i kości, hałaśliwego, o ciężkim chodzie, który pali cuchnące cygara i wydziela zwierzęcy zapach..

Na dodatek sprowadził przecież na teren tak ściśle strzeżony stworzenie, które ocierało się o meble, jak drapieżnik trze się o pręty klatki, i wpatrywało się w nią uporczywie, nie pozwalając na żadną poufałość nikomu prócz niego — swego pana i boga.

Bo ku jej oburzeniu dla Józefa Emil Bouin był bogiem.

Bouin niczego się dla niej nie wyrzekł, nie podjął żadnej próby, żeby włączyć się w jej świat.

Żyli więc obok siebie, ale osobno, drażniąc się nawzajem każdym gestem, każdą intonacją.

Czy w końcu nie zaczęli znajdować w tym skrytej przyjemności? Dzieci bawią się w wojnę na niby. Dla nich była to teraz prawdziwa wojna, o wiele bardziej pasjonująca.

Każde z nich myślało o śmierci współmałżonka, każde mniej czy bardziej świadomie życzyło jej drugiemu, chcąc przeżyć partnera.

Małgorzata pozbyła się już jawnego wroga, tego kota, który samą swoją obecnością urągał ostatniej przedstawicielce wrażliwych Doise'ów.

Dlaczego w przyszłości nie miałaby w ten sam sposób pozbyć się męża?

Czytał w jakiejś gazecie, że morderstwa przez otrucie popełniają przeważnie kobiety. W artykule twierdzono poza tym, że bez wątpienia wykrywa się tylko dziesięć procent tego typu zbrodni, bo domowi lekarze, kiedy dotyczy to ciężko chorego lub starca, nie wgłębiając się zbytnio wystawiają akt zgonu.

Nie żeby się naprawdę bał, ale stał się podejrzliwy. Miał jeszcze jeden powód, żeby nie jeść potraw przyrządzanych przez żonę: swoją decyzję, że nic jej nie chce zawdzięczać i będzie wykonywał swoją część prac domowych. Skoro słał sobie łóżko, rąbał drzewo, rozpalał ogień, pastował podłogi i ścierał kurze, dlaczego nie miałby sam sobie gotować i w ten sposób uniknąć chodzenia dwa razy dziennie do restauracji?

Tak jak nie dzielił z Małgorzatą łóżka, tak samo nie chciał dzielić z nią stołu i cieszyła go myśl, że zaskoczy ją, ba, może doprowadzi do wściekłości.

W poniedziałek po południu udał się na bulwar Barbes.

— Nie macie takiego, który zamykałby. się na klucz?

Dwudrzwiowy kredens kuchenny, biało: lakierowany, tani z krajowej sosny.

— Można za dopłatą założyć zamki...

— Dobre zamki — podkreślił — nie takie, które dają się otworzyć szpilką do włosów.

Mebel dostarczono w czwartek rano. Tego dnia Mał~

gorzata nie poszła z wizytą do papugi i przepłakała część nocy. Była zdenerwowana, miała zaczerwienione oczy, obrzmiałe policzki.

Z osłupieniem przyglądała się ogromnej ciężarówce, pomalowanej na żółto, z wielkimi czarnymi literami po bokach, która długo manewrowała, nim udało jej się wjechać w zaułek.

Śledziła wzrokiem tragarzy, j którzy wnieśli kredens do kuchni i zapytali:

— Gdzie go marny ustawić?

Zwrócili się do niej i szybko wyszła, nie racząc odpowiedzieć.

— Tutaj. Na prawo od zlewu.

— Myśli pan, że się zmieści?

Zajął dokładnie przestrzeń wyznaczoną przez Emila.

Tego dnia zrobił wielkie zakupy, wrócił z puszkami konserw, butelkami oliwy i octu, z mnóstwem rozmaitych paczuszek.

W południe, kiedy żona była na górze, przyrządził sobie obiad, potężny befsztyk, smażone kartofle, zielony groszek.

Kiedy zeszła, zastała go przy stole i sama z kolei zajęła się przygotowaniem skromnego posiłku.

Kuchnia wychodziła na wąskie dwumetrowe podwórko i na szary mur bez okien. Ponieważ starali się nie patrzeć na siebie podczas jedzenia, był to jedyny krajobraz, na jakim mógł spocząć ich wzrok. Nie docierały do nich odgłosy zaułka, miasta, czasem tylko daleki huk samolotu przelatującego wysoko na niebie.

Prace po przeciwnej stronie ulicy jeszcze się nie rozpoczęły. Krążyły tylko pogłoski, że lokatorom już wymówiono. Jedni napomykali o budowie szkoły dla pielęgniarek, inni o biurowcu, o nowoczesnym garażu, o luksusowych mieszkaniach do wynajęcia...

To były interesy tych obmierzłych Sallenave'ów, którzy podstępnie wyłudzili połowę zaułka od zbyt łatwowiernego Sebastiana Doise. Za pieniądze uzyskane za te parcele rozbudują nową wytwórnię herbatników w Ivry.

Minął miesiąc. Do Małgorzaty przyszedł list, który ja wzburzył. Ubrała się w pośpiechu, pobiegła gdzieś drobnym kroczkiem. Sam jeszcze nie ubrany, nie mógł iść za nią.

Czekał. Nie mniej czasu spędzali na czekaniu, co na szpiegowaniu się nawzajem, bo było im nieswojo samym w domu. Jeśli któreś z nich. wychodziło, drugie czuło się wręcz zagrożone, zwłaszcza gdy zdarzało się to o niespodziewanej porze.

Dokąd poszła Małgorzata?

Dokąd coraz częściej około czwartej po południu wybierał się Bouin?

Czasem śledzili się całkiem jawnie z niewinną miną.

Powrót Małgorzaty tego dnia okazał się wydarzeniem równie sensacyjnym jak wtargnięcie w zaułek ciężarówki z kredensem. Po raz pierwszy, odkąd ją znał, wróciła taksówką. Kierowca wysiadł, żeby pomóc jej nieść klatkę, którą na pewno z wielkim trudem umieścili w wozie, oczywiście klatkę z Koko.

Obserwował ich z okna salonu. Koniecznie chciała sama nieść klatkę, podczas gdy kierowca szedł w ślad za nią, i postawiła ją ostrożnie na chodniku, żeby wyjąć klucz z torebki i otworzyć drzwi.

Zapłaciła za kurs mówiąc coś, czego Bouin nie dosłyszał, podniosła znów klatkę zakrytą flanelowym kocykiem i w parę chwil potem, bez jednego spojrzenia w stronę męża, ustawiła ją na zwykłym miejscu.

Nie ruszał się od okna, zaskoczony i niespokojny. Widział, jak zdejmuje flanelę i przygląda się z czułością papudze stojącej na swojej żerdce.

Ptak miał wszystkie pióra, ogon wspanialszy niż kiedykolwiek. Wypukłe oczy patrzyły prosto; przed siebie i Bouin poczuł się zażenowany jak podczas nieprzyzwoitego widowiska. Wietrzył podstęp. Papuga nie ruszała się. Małgorzata także nie, rozmodlona, jakby ktoś bardzo jej drogi leżał obok na katafalku.

Wreszcie zrozumiał. Ptak nie żył. Był wypchany, miał przyprawione pióra i oczy ze szkła.

Po pewnym czasie Małgorzata odwróciła się do niego i spojrzała mu prosto w twarz zimnym, wyzywającym wzrokiem.

Skierowała się do okrągłego stolika, na którym leżał papier i ołówek. Napisała parę słów, położyła kartkę na fortepianie i wyszła na korytarz, żeby zdjąć płaszcz i kapelusz.

Emil przeczytał:

Jeśli jej dotkniesz, wezwę policję

Nie wróciła od razu do salonu, zostawiając mu czas na strawienie pogróżki. Kiedy znowu usadowiła się *w* fotelu, nie opodal papugi, on też już siedział po drugiej strome kominka.

Z kolei sam coś napisał na karteczce wyrwanej z notesu. Zwinął ją w małą kulkę, ujął między kciuk i środkowy palec, którym wykonał szybki ruch, tak aby pocisk padł wprost na podołek żony.

Tym razem nie trafił.

Później miał nabrać wprawy. Papierowa kulka odbiła się od kolana Małgorzaty i upadła na posadzkę. Udała, że nic nie dostrzegła i nic nie poczuła. Trwali długo w bezruchu, jakby na coś czekając. Małgorzata raz po raz spoglądała na papugę.

Wreszcie upuściła kłębek włóczki i podnosząc go chwyciła papierek, na którym po raz pierwszy widniały trzy litery:

Kot

Byli na remis.

Nie miał już tak dobrej pamięci jak kiedyś. Pamiętał dość dokładnie fakty, czy było słońce, czy deszcz, kiedy przechodził tędy lub tamtędy, zdania wymieniane ze

•sklepikarzami w dzielnicy, ogromnego homara, którego kupił na przekór Małgorzacie, pierwszy wóz meblowy w zaułku, o dwa domy od nich.

Pamiętał teksty liścików, zarówno własnych, jak i tych, które jego żona kładła z pogardliwą miną na fortepianie lub na szafce nocnej.

Kiedy chodziło o porządek zdarzeń, *o*\ daty, pamięć płatała mu figle. Miał skłonność do łączenia wszystkiego, nawet gdy między jednym zdarzeniem a drugim zdążyły upłynąć dwa lata. Żeby ustalić datę, musiał sięgać myślą do pory roku, przypominać sobie, jak oboje z Małgorzatą byli wówczas ubrani.

Pierwsza przeprowadzka, na przykład, odbyła się w początkach marca, marca szczególnie słonecznego, gdyż gazety przytaczały statystyki i zamieszczały zdjęcia kwitnących kasztanów.

Kiedy wszystkie okna były otwarte, zaułek był mniej ponury, nie tak głuchy. Przebiegał go ożywczy prąd, rozlegały się głosy, matka nawoływała dziecko bawiące się w alejce, słychać było grającą płytę, dźwięki radia, w tle szum samochodów na ulicy de la Santé, a nawet dalekie echa ze skrzyżowania z ulicą Saint-Jacques.

Oparty na łokciu przy oknie, przyglądał się wynoszonym sprzętom; stłoczone w wozie meblowym, obnażały w jakiś sposób gusty i pozwalały wejrzeć w prywatne życie ludzi, *z* którymi dotychczas mijał się tylko na ulicy.

Zdziwiła go u byłego urzędnika maszyna do pisania, Ogromny obraz w złoconej ramie, przedstawiający bitwę morską w czasach korsarzy.

Małgorzata też patrzyła z pierwszego piętra, ale jej okno było zamknięte i stała ukryta za firanką. Wyglądała i na cierpiącą, jadła jeszcze mniej niż zawsze i wyraźni o się postarzała.

Nie zawsze się teraz malowała, choć dotychczas dyskretny makijaż przydawał jej cerze blasku. Ludzie dziwili się widząc, jak niemal z dnia na dzień zblakła i przywiędła.

Wchodząc do salonu nigdy nie omieszkała zatrzymać się na chwilę przed klatką papugi, gdzie stała poruszając wargami, jak w kościele.

Bouin nie mógł przywyknąć do milczącej obecności ptaka. Papuga martwa bardziej mu zawadzała niż papuga żywa. W bezruchu przybrała wygląd zagadkowy i groźny, jak niektóre rzeźby afrykańskie, jakie widywał w witrynie sklepu z obrazami!

Nie trzeba już było wieczorem przykrywać klatki flanelowym kocykiem.

Nie umiał dokładnie określić, kiedy pojawiła się pani Martin. Czy w czasie sukcesywnych przeprowadzek z domów naprzeciwko? Zaułek stał się wtedy widownią dość niezwykłej krzątaniny.

Z samochodów wysiadali panowie z teczkami pod pachą, kręcili się, sprawdzali plany, zatrzymywali się, znów odjeżdżali, pokazywali coś machając rękami.

Byli to architekci i przedsiębiorcy ze swoimi technikami. Małgorzata już po chwili zamykała okno i oddalała się, żeby ich nie widzieć.

Czasem miał nadzieję, że ustąpi, zmieni postępowanie, zwróci się do niego z bardziej ludzką twarzą, z łagodniejszym spojrzeniem i odezwie się. Wszystko jedno, co powie. Na przykład zwyczajnie:

— Już czas na obiad...

Jak gdzie indziej, we wszystkich innych domach, wszędzie, gdzie ludzie ze sobą przebywają.

Puściłby kota w niepamięć. Może. Może nie na długo, zwłaszcza że znalazł nowe powody do urazy.

Prawdę mówiąc, choć nie przyznawał się sam przed sobą, po prostu bał się: jej. Zachowywała się konsekwentniej, była energiczniejsza, lepiej panowała nad sobą.

Gdyby to od niego zależało, wróciłby do dawnego trybu życia, ryzykując, że pokłócą się po trzech dniach i znów skończy się na bilecikach.

Ona nie. Była równie sztywna i obojętna jak wypchana papuga.

Współczuł jej. To napięcie musiało być nie do zniesienia i chwytał go strach, że się w końcu załamie.

— Też masz pomysły! — odpowiadał natychmiast sana sobie. — Taka kobieta jak ona nigdy się nie załamie. W każdym razie nie, póki ty żyjesz. Ona chce jednego — twojej głowy — i wie, że w końcu ją dostanie. A do tego czasu wszystko wytrzyma...

To było latem. Mniej więcej w sierpnia, bo rzeźnik i Włoch ze sklepu spożywczego wyjechali na wakacje i trzeba było gdzieś dalej szukać otwartych sklepów. Wszędzie na zapuszczonych żaluzjach widniały kartki i trzy razy trzeba było przenosić się do nowej pralni.

Bouin szedł już przeważnie w ślad za żoną, kiedy robiła sprawunki, ale nie stało się to jeszcze codziennym rytuałem. Czasem wychodził pierwszy; innym razem znacznie później, około jedenastej, żeby wracając wstąpić na aperitif.

Pił więcej niż poprzednio, zawsze czerwone wino. Dlatego ogarniała go senność po posiłku i zasmakował w tym leniwym odrętwieniu, rodzącym sny bliższe rzeczywistości niż nocne marzenia. Rzeczywistości zagmatwanej, deformującej głosy, sposób bycia.

Siedział w swoim fotelu z ciężka głową, z półprzymkniętymi oczami. Przez chwilę rozróżniał jeszcze połyskliwe nogi fortepianu, lwie łapy na szklanych wspornikach. Obraz niepostrzeżenie mętniał, nakładały się nań drzewa lasu Fontainebleau i zdawało mu się, że słyszy kpiący, wulgarny, ale tak pełen życia głos Angeli.

Kiedy przywieziono ją ze szpitala po wypadku i kupił dla niej szezlong, bo mogła zrobić zaledwie parę kroków o kulach, wiedział od lekarza, że będzie kaleką, ale był przekonany, że nie umrze.

W rok potem karetka pogotowia znowu przewiozła ją do szpitala i przez długie miesiące odwiedzał ją trzy razy w tygodniu w sali, gdzie tak samo jak inni mężowie siadał przy łóżku i szeptał.

— Dajesz jakoś radę? Nie za ciężko ci?

Miała wesołą minę.

— Mam tu fajną koleżankę, tę małą rudą, dwa łóżka dalej. Nazywa się Liii. Była ekspedientką w Galerii Lafayette...

Oddano mu ją po sześciu miesiącach nie ukrywając, że jej stan się pogorszył, ale nie można już nic pomóc. Odwiedzał ją lekarz rejonowy. Stara posługaczka, pani Blanquet, spędzała z nią większą część dnia i przyrządzała posiłki.

Spuchły jej nogi. Potem straszliwie wzdął się brzuch. Zaatakowane były nerki. Miała uremię. Nie wiedziała o tym i przyglądając się sobie, kiedy ją mył wołała czasem:

— Popatrz tylko! Można by pomyśleć, że jestem w ciąży...

Pewnego wieczoru, w piątek siedemnastego maja, nadzorował budowę koło Porte de la Chapelle. Z majstrem, grubym Leonem, znał się od niepamiętnych czasów.

— Pójdziemy się napić?

— Żona na mnie czeka... Wiesz, że leży...

— Szybko się uwiniemy...

Nie był w kafejce dłużej niż pięć minut. Kiedy wrócił do domu, pani Blanquet z czerwonymi oczami wstała gwałtownie z krzesła. Nie spuszczała z niego wzroku, jakby bała się zbyt gwałtownej reakcji.

— Nie zostawiłam jej nawet na chwilę, przysięgam... Angela nie żyła. Stara zamknęła jej oczy. Wyglądała tak tajemniczo, jak teraz papuga Małgorzaty.

— Kiedy to się stało?

— Jakieś pół godziny temu...

Chwycił jej dłoń, jeszcze miękką, ale nie zdobył się, żeby ją pocałować.

Jego matka w chwili zgonu nie miała przy sobie nawet jakiejś pani Blanquet. Mieszkała sama. Emil był już żonaty. Od kilku tygodni nie czuła się dobrze, ale dalej wstawała z łóżka, krzątała się po domu.

Wstępował do niej co wieczór, przynosząc słodycze lub owoce. Znalazł ją na podłodze w kuchni $_2$ oczami szeroko otwartymi.

Niekiedy bał się, że wracając ujrzy w którymś z pokojów martwą Małgorzatę.

Nie było żadnego podobieństwa między tymi trzema kobietami. Ani między matką a Angelą, ani między nimi dwiema i Małgorzatą, a jednak we śnie często mu się myliły. Zwłaszcza ich głosy, słowa, zdania, jakie wypowiadały. Może łączyła je pewna nieufność w spojrzeniu?

Kto wie, czy ta zbieżność nie zrodziła się raczej w nim samym, z jego niejasnych obaw, jak wówczas, kiedy był dzieckiem i zawsze miał sobie coś do wyrzucenia; z niepokoju, z poczucia winy, że nie wypełnił wszystkich obowiązków, że zasłużył na burę.

Wszystko jedno, czy to było w czerwcu, lipcu, czy w sierpniu. Z pewnością w tym okresie Małgorzata była bardziej niż zwykle zdenerwowana i nie mogła usiedzieć w miejscu.

Przez kilka dni nie towarzyszył jej jak cień podczas sprawunków. Miał ochotę na Nelly. W końcu poszedł do niej, jak zawsze zadał w milczeniu pytanie i na dany znak przemknął za nią do kuchni.

— Wygląda na to, że wracasz do starych zwyczajów... Twoja żona nie jest zazdrosna?

— Nie rozmawiamy ze sobą.

— Nie żartuj...

— Naprawdę...

— Czekaj... Boli mnie...

Zapadła cisza. Szybko oddychał, Nelly, opuszczając suknię, podjęła przerwaną rozmowę.

— Mówisz, że mieszkacie oboje w tym samym domu i nie odzywacie się do siebie?

— Daję ci słowo...

— A kiedy macie sobie coś do powiedzenia?

— Piszemy karteczki...

— Na przykład: mam ochotę przespać się z tobą...

— Tego nigdy między nami nie było.

— Nie ciągnie cię do niej? Czy to ona nie chciała?

— Jedno i drugie... Sam nie wiem...

Odczuwał potrzebę zwierzeń i już miał to sobie za

złe, jakby mówienie o Małgorzacie z Nelly było nietaktem, świadczyło, o braku subtelności.

Stał przy ladzie ze szklanką białego wina w ręce i odwracając się w stronę rozsłonecznionej ulicy, zobaczył na chodniku swoją żonę właśnie, w towarzystwie osoby o jakieś dziesięć lat młodszej, którą zauważył już kiedyś na targu. Szły obie; bardzo wolno, jakby chciały przedłużyć rozmowę.

Czyżby więc i Małgorzata akurat zwierzała się na jego temat?

W momencie, kiedy przechodziła koło kafejki, odwróciła głowę. Musiała go dostrzec mimo półmroku panującego wewnątrz. Dostrzegała wszystko, odgadywała wszystko, zwłaszcza jeśli tyczyło to jego, a jeszcze bardziej jeśli chodziło o coś, co chciałby przed nią ukryć.

— To ona?
— Tak.
— Która z tych dwóch?
— Starsza. Ta w różowej sukni...
— Zawsze tak się ubiera?
— Nosi tylko jasne kolory, trochę spłowiałe...
— Widziała cię...
— Też mam takie wrażenie...
— Martwisz się?
— Nie.
— Nie jestem taka pewna... Nie będziesz się bał znów tu przyjść?
— Czego miałbym się bać?
— Jutro?
— Na pewno...
— Twoje zdrowie...

Ale nazajutrz nie poszedł do Nelly. W domu przy końcu zaułka zaszło coś nowego. Około czwartej rozległ się dzwonek u drzwi, co zdarzało się rzadko. Małgorzata, która zdawała się czekać na dźwięk dzwonka, bez pośpiechu poszła otworzyć.

— Dzień dobry pani...

Pani Martin była bardzo ciemną brunetką, z ramionami szerokimi jak u mężczyzny i cieniem wąsika.

— Czy nie przeszkadzam?

Małgorzata wiedziała, że Emil siedzi bez marynarki w salonie i czyta gazetę. Mimo to wprowadziła tu gościa. Zrobił gest, jakby zamierzał wstać, przywitać się. Pani Martin zawahała się, już prawie wyciągnęła rękę, ale natychmiast została odwołana w inne miejsce.

— Proszę usiąść tutaj, jeśli łaska... To najwygodniejszy fotel, po mojej matce, podobno lubiła go najbardziej... Tak mało ją znałam... Pozwoli pani filiżankę herbaty?..,. Za chwileczkę?...

Pani Martin przyglądała mu. się ciekawie i był tym zażenowany. Jednak wyjście z pokoju byłoby jednoznaczne z kapitulacją, pozostał więc na miejscu udając, że czyta gazetę.

— Mało przyjmuję, to prawda... Jestem niemal zawsze sama... Prawie nikt mnie nie odwiedza tak jak dziś pani.

Widząc kierunek spojrzenia pani Martin, dodała:

— Proszę nie zwracać na niego uwagi. Wyszłam za niego za mąż trochę z litości... Był wdowcem... Wydawał się nieszczęśliwy... Mieszkał naprzeciwko w jednym z tych domów, które mają zburzyć. Widywałam go spędzającego całe dnie przy oknie. Raz zaprosiłam go na kawę i zrobił na mnie przyjemne wrażenie... Teraz wiem już, że był onieśmielony... Onieśmielony i obłudny... Bo w życiu nie znałam człowieka tak obłudnego... Może to w końcu nie jego wina... Później odkryłam, że nie jest całkiem normalny... Zawsze był wobec mnie ordynarny, więc poprosiłam, żeby milczał...

— I wcale się do pani nie odzywa?

Jak niedawno Nelly! Tylko Małgorzata okazała się okrutniejsza, bardziej podła niż on na ulicy des Feuillantines.

— Od paru miesięcy...

— Ani słowem?

— Ani słowem... Czasem rzuca mi karteczkę zwiniętą w kulkę, której nawet nie czytam...

— Dlaczego?

— Bo wiem z góry, że to będą obelgi.,. Jak jest pomylony, najlepiej świadczy historia z kotem. Kiedy zdechł jego kot, zwyczajne stare kocisko, które nie wiadomo skąd się przypętało, i oskarżył mnie, że go otrułam... Ja, która bez słowa skargi znosiłam jego obecność w domu, a w nocy w naszej sypialni... Spał na łóżku swego pana i przeszkadzał mi zasnąć chrapaniem...

Patrzyła chłodno na męża, z leciutkim błyskiem triumfu w oczach. Znalazła nowy sposób odwetu. Jutro, pojutrze ta pani Martin rozpowie całą historię po wszystkich sklepach na ulicy i ludzie będą się do niego odnosić z przyganą zmieszaną z politowaniem.

— Wie pani, co zrobił nazajutrz?

— Nazajutrz po czym?

— Po tym, jak zdechł kot. Widzi pani moją papugę?...

— Tak... Piękny ptak. Umie mówić? —

Nie żyje...

— Dziwiłam się, że tak długo stoi bez ruchu...

— To był najinteligentniejszy, najczulszy ptak na świecie... Ten człowiek był o niego zazdrosny... Papuga nie lubiła go... W czasie jakiegoś ataku, nie umiałabym tego inaczej nazwać, prawdziwego ataku ślepej furii, wyrwał jej pióra z ogona i złośliwie włożył je do wazonu...

Pani Martin kiwając głową dała wyraz swemu oburzeniu; cały czas ukradkiem przyglądała się Bouinowi.

— Wygląda niegroźnie — szepnęła, jakby chcąc mu pochlebić.

— Tak się wydaje... Lepiej, żeby go pani nie widziała w gniewie... Gdyby nie wyładował swojej wściekłości na Koko, na pewno sama padłabym ofiarą...

— Nie boi się pani?

— W moim wieku, sama pani rozumie...

Małgorzatę w głębi duszy rozpierała radość i podejrzewał,

że już od dawna przygotowywała tę scenę. Nie chciał teraz wychodzić. Byłaby to dezercja.

— Pójdzie pani ze mną do kuchni? Porozmawiamy tam sobie, a ja przyrządzę tymczasem herbatę.

Pani Martin nie miała najmniejszej ochoty zostać sam na sam z człowiekiem, którego przed chwilą jej opisano, i skwapliwie pośpieszyła za Małgorzatą. Słyszał z daleka, jak rozmawiają półgłosem, i zastanawiał się, co jeszcze stara potrafi sobie wymyślić.

Teraz niech tylko cokolwiek stanie się jego żonie, a cała dzielnica uzna go za winowajcę. Osoba tak delikatna, lak łagodna, tak wytworna! Pani od urodzenia mieszkająca w tym samym domu, której pierwszy mąż był powszechnie szanowany!

Gdzie znalazła tego gbura? Czy nie mają racji ci, którzy twierdzą, że należy trzymać się swojej sfery?

Skąd on się właściwie wziął? Czy ktoś o nim cokolwiek wie? Kto zna jego przeszłość?

Wróciły. Małgorzata ze srebrną tacą, której nigdy nie używała.

— Dwa kawałki cukru?

— Poproszę...

— Ciasteczko? Może migdałowe? Są znakomite...

— Pani ojciec też wyrabiał ciastka, prawda? Zdaje mi się...

— Wytwórnia Doise. Tak, ma pani słuszność. To cała historia... Jeszcze jedna historia ze złym zakończeniem... Prawie z tych samych powodów... Z litości przyjął do pracy indywiduum niewiele warte, niejakiego Sallenave. Jego żona była chora, syn. nie chciał się uczyć, on sam też skarżył się na różne dolegliwości. Krótko mówiąc; zwykłe bajeczki... Ojciec powierzył mu odpowiedzialne stanowisko. Potem, kiedy syn dorósł, też go z kolei zatrudnił. Nie uwierzy pani, ale po piętnastu latach nie kto inny, tylko ojciec został usunięty z własnego przedsiębiorstwa... I połowa skweru, ta, którą teraz będą burzyć, przeszła w ręce tych Sallenave... Sprzedali ją... Domy zostaną rozwalone. Na ich miejscu stanie

gmach wysoki na nie wiem ile pięter i słońce już tu nie zajrzy... Dobrze jeszcze, jeśli — jak utrzymują niektórzy — nie wybudują stacji obsługi z garażami i z pompami benzynowymi akurat na wprost moich okien! Ja odrzuciłam wszystkie oferty... Gdybym ustąpiła, skwer, który nosi imię mojego ojca, zniknąłby bez śladu... Jeszcze ciasteczko? Bardzo proszę...

Mówiła jak w gorączce, a pani Martin zerkała to na Emila Bouin, to znów na papugę.

Zdawała sobie sprawę, że w atmosferze domu jest coś nienormalnego.

Od czasu do czasu patrzyła też na Małgorzatę, tak: jak tylko kobiety umieją się sobie przyglądać.

Czy nie zadawała sobie pytania, które z nich jest niespełna rozumu? On czy ona? A może oboje?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wytrzymał jakoś cztery koszmarne dni z uczuciem, że zaczynają brać nad nim górę. To był spisek, aby doprowadzić go do obłędu. W ciągu wszystkich lat przeżytych w tym domu Małgorzata nigdy nie zaprosiłaby osoby tak wulgarnej jak pani Martin. Widział w niej teraz prawdziwą czarownicę, czarnooką, o przesadnie uróżowanych ustach i policzkach, źle ubraną w ciemną suknię, pod którą rysowała się autentyczna sznurówka.

Przychodziła z uderzeniem czwartej, jak pierwszego dnia. Słyszał najpierw jej kroki w zaułku. Potem mijała pierwsze okno, znikała na moment, by wyłonić się za drugim.

Po chwili rozbrzmiewał! dźwięk dzwonka. Nie ruszał się. Postanowił nie ustępować im placu wiedząc, że jeśli ustąpi choćby centymetr, utraci stopniowo całą swoją przestrzeń życiową.

Pomysł był diaboliczny i wystarczyło spojrzeć na Małgorzatę, by mieć pewność, że jest z niego zadowolona.

Pośpiesznie otwierała drzwi.

— Jak to miło, że pani przyszła...

— Rozmowa z panią to dla mnie taka przyjemność! Nie na każdym kroku spotkać można osobę tak wartościową... Jaki upał dzisiaj. U pani jest chłodno... W moim mieszkaniu można się udusić i przez cały dzień muszę nosić radio sąsiadów... Gdyby jeszcze mieli dobry gust... Ale nie! Słuchają tylko najgłupszych piosenek...

— Bardzo proszę, droga pani... Herbata już gotowa. Rzut oka na Bouina, zawsze bez marynarki w swoim fotelu. Zawziął się. Miał prawo siedzieć tu ubrany, jak mu się podoba. To nie jego odwiedzano. Nie zwracano na niego uwagi. Lub raczej traktowano go zupełnie jak domowe zwierzę, jak wypchaną papugę w klatce.

— Mam nadzieję, że pani dobrze spała?

— Wie pani, w moim wieku nie śpi się dużo... Ledwie człowiek położy się do łóżka, a już oblegają go wszystkie kłopoty...

Kłamstwo! Rzadko budziła się w nocy.

Czarownica spogląda na Emila.

— Miała pani nowe zmartwienia?

— Ciągle to samo... Przyzwyczaiłam się. Gdyby nie moje silne nerwy, dawno już byłabym w grobie lub w domu wariatów...

Nienawidził ich obu. Gdyż w końcu odważył się przyciąć, że nienawidzi swojej żony. Sprowadziła pomoc z zewnątrz. Walka nie była już równa. Kto wie, czy nie ciągnie z ulicy jeszcze innych pań Martin, żeby otoczyć go stadem jędz. Pił za dużo. Już nie tylko po to, by na króciutką chwilę zapaść w błogą senność. Musiał dla kurażu wypijać co godzinę jedną lub dwie szklanki wina.

Podglądała go. Mógł sobie zamykać butelki w kredensie, od którego klucz miał w kieszeni, i tak widziała, ile ich przynosi co rano, i odgadywała powody jego coraz częstszych wizyt w kuchni.

Kto wie, czy nie opowiada o jego pijaństwie każdemu, kto chce słuchać? Pani Martin służyłaby jej za świadka. A jeśli, nie mogąc doczekać się jego śmierci

i nie śmiąc zadać mu jej własną ręką, Małgorzata zmierza do zamknięcia go w domu wariatów?

Bał się. Nawet kiedy nie mówiły o nim wprost, tkwił na dalszym planie ich rozmów, przerywanych westchnieniami i wymownymi spojrzeniami.

— Nie można powiedzieć, niebożątko, żeby życie panią rozpieszczało... I to mimo tyłu zasług...

— Nigdy się nie skarżyłam... Jeśli Bóg tak postanowił...

— Jakie szczęście, że jest pani wierząca... Zawsze mówię, że człowiek pobożny...

— Współczuję ludziom, którzy w nic nie wierzą...

Utkwiła wzrok w mężu.

— Czy sami z własnej woli nie zniżają się do poziomu zwierząt?

— Gorzej jeszcze! Zwierzęta nie są odpowiedzialne za swoje czyny...

Herbata. Srebrna taca. Ciasteczka. Któregoś dnia poszedł do kuchni po butelkę czerwonego wina i szklankę i w ich obecności zabrał się do picia.

To był błąd. Nie powinien go powtarzać. Instynkt mówił mu, że nic dobrego z tego nie wyniknie.

Nabrał zwyczaju wstępować po kilka razy dziennie na szklankę wina do małego baru naprzeciw więzienia, który dostarczał posiłków co bogatszym lokatorom cel.

Słyszało się tam zlecenia patrona:

— Dwa kotlety wieprzowe dla Krzywego... Dużo kartofli i sałata...

— Kogut w winie dla Rejenta...

Prawie wszyscy więźniowie mieli przydomki. Nikt niej dziwił się, że żyją za kratkami, zamknięci w czterech ścianach.

— Czy Zezowaty jest dalej w izbie chorych?

— Wczoraj go wypuszczono. Lekarz stwierdził, że niej jest bardziej chory niż ja...

Wypijał swoją szklankę wina przy ladzie. Nie znano go tu jeszcze i przyglądano mu się.

— Pan nie z tej dzielnicy, co?

— Owszem, z tej...

— Tak mi się i zdawało, że skądś znam pana twarz...

— Mieszkam przy skwerze Sebastiana Doise.

Czuł potrzebę uzasadnienia swojej obecności, jakby musiał zdać egzamin, żeby zostać przyjętym. Przeciwnie niż u Nelly, panował tu nieustanny ruch wśród gości, czasem dość dziwnych, którzy szeptali po kątach, przywoływali patrona, mówili mu coś na ucho.

— To pan jest mężem tej starej wariatki?

Przytaknął, jakby to mogło dotyczyć się tylko Małgorzaty.

— Dlaczego ona nie sprzedała?

— Co miała sprzedać?

— O rany, te swoje domy... W tym miejscu miał stanąć olbrzymi gmach. Dawano jej majątek za te chałupy i przez jej upór trzeba było zmieniać wszystkie plany...

Zaszedł znowu do Nelly, nie zaproponował, żeby przeszli do kuchni. Natychmiast spostrzegła, że jest przygnębiony.

— Masz kłopoty?

— Robią, co mogą, żeby mnie wykończyć... Ta pani Martin to... to...

— Brunetka z przyczernionymi powiekami?

— Tak...

— Ta, co wtedy szła z twoją żoną? Jeszcze dwa lata temu wróżyła z kart. Nie wiem, o co tam poszło, ale zajęła się nią policja... Teraz już nic nie robi. Chyba ma odłożone pieniądze...

— Nie mogę już tego znieść...

— Dlaczego siedzisz tam razem z nimi?

— Gdybym wyszedł z pokoju, uznałyby to za zwycięstwo...

— Dziwny człowiek z ciebie... Czasem przysięgłabym, że to cię bawi. Jesteś pewien, że nie tęskniłbyś za żoną?

— Nienawidzę jej...

— Napij się prędko i spróbuj myśleć o czymś innym, o przyrodzie, o ptaszkach...

— Mówię poważnie...

— Ja też...

Nie obyło się nawet bez specyficznego zapachu: pani Martin oblewała się tanimi perfumami, których woń przenikała salon. Małgorzata, choć nie cierpiała perfum, nic nie dawała po sobie poznać, co świadczyło, że są ze sobą w zmowie.

Niekiedy szedł jeszcze z daleka za żoną robiącą zakupy. Nie wystarczało jej i już, że widuje się z panią Martin po południu, spotykała ją niby przypadkiem w sklepie spożywczym u Wiocha lub u rzeźnika, gdzie razem stały w kolejce.

Piątego dnia rano poczuł, że dłużej nie wytrzyma, i Nelly widząc go natychmiast zrozumiała, że nie przychodzi tylko na szklankę czy dwie wina ani też by spędzić z nią chwilkę w kuchni.

— Wygląda na to, mój stary, że coś mocno nie klapuje w twojej parafii... Co ci tym razem zrobiły?

— Muszę z tobą pomówić...

Skrępowany, nie umiał przystąpić do rzeczy.

— Rozumiesz, mężczyzna ma przecież swoją godność... Pokpiwała sobie w duszy. Lepiej niż on znała mężczyzn i wiedziała z doświadczenia, że powołują się na swoją godność wtedy, kiedy sprawy biorą zły obrót.

— Daj mi coś do picia...

— To już czwarta szklanka?

— I ty też?...

— O co ci chodzi?

— Bo moja żona liczy, ile wypiłem... Podgląda mnie od rana do wieczora... Pilnuje mnie, jakbym był dzieckiem raczkującym po podłodze... Kiedy wracam, kombinuje, żeby podejść blisko i mnie powąchać.... Jedynym miejscem, gdzie mogę się zamknąć, jest łazienka...

— Biedny Emil!...

Nigdy nie brała nic tragicznie. Dla niej wszystkie dramaty małżeńskie były do siebie podobne.

— No więc... mówiłeś o swojej godności...

— Ile masz na górze pokoi?

Ściągnęła brwi, bo tego pytania nie oczekiwała.

— Dwa. Dlaczego?

Ciągnął dalej zawstydzony, cichym głosem:

— Jestem starym dziadem, wiem... Nie proponuję ci, Obyśmy żyli ze sobą jak...

— Jak kochankowie, dobra!... Przede wszystkim musisz wiedzieć, mój chłopcze, że nigdy nie umiałam spać z mężczyzną w jednym łóżku... To sprawa skóry, zapachu... Popieścić się na stojąco, to owszem... Ale razem pocić się, natknąć się nagle na czyjeś ramię czy nogę! Nie!... Próbowałam na początku z Theo... To był przecież mój mąż... Wzięliśmy ślub w merostwie. No i co? I to paru dniach poprosiłam go, żeby sobie kupił łóżko... Spał w pokoju od podwórka... A przecież bardzośmy się kochali...

— Wiedział, że go zdradzasz?

— Co przez to rozumiesz?

— Nie, nic... Przepraszam... Chodzi mi o to, żeby u ciebie zamieszkać w charakterze sublokatora... Płaciłbym... Sama ustalisz komorne... Nie przeszkadzałbym ci... Nie zajmuję dużo miejsca...

— Musiałabym ci gotować?

— Gdyby to było możliwe... Wolałbym... Ale jeśli trzeba, jadałbym na mieście...

— Na jak długo?

— Nie wiem... Może na zawsze...

— Tak ci dokucza ta twoja stara?... — Zastanowiła się. — Ile mógłbyś płacić?...

— Nieważne w mojej sytuacji... Dostaję niezłą emeryturę od miasta... Mam oszczędności...

— A nie będziesz przez cały dzień kręcił się po lokalu? Klienci tego nie lubią, rozumiesz...

— Rozumiem... Zrobię, jak zechcesz...

— A jeśli wpadnie któryś z przyjaciół?...

Spojrzał na drzwi do kuchni.

— Twoja sprawa...

— Nie będziesz zazdrosny?...

— Dlaczego miałbym być zazdrosny?

— Nie jesteś za bardzo grzeczny...

— Jestem szczery...

— Daj mi trochę pomyśleć...
— Jak długo?...
— Powiedzmy do jutra rana, kiedy tu przyjdziesz...
— Nie mogłabyś zdecydować już dzisiaj?
— Tak cię przypiliło?

Nie odpowiedział, ale widać było, że jest u kresu sił, i spojrzenie miał błagalne.

— Dobrze!

Wróć za pół godziny...

— Ile płacę?

— Lepiej ci od razu otworzę rachunek...

Jak dla stałych klientów, których należności zapisywała w zeszycie.

— O której wstajesz?

— O szóstej... Zresztą wszystko jedno kiedy... Wystawię pojemniki, podniosę żaluzje, zamiotę podłogę... Jestem przyzwyczajony...

— Idź się teraz przejść...

Usłuchał niespokojny, jak chyba nigdy w życiu. Widział w tym jedyną deskę ratunku. U Nelly nie myślałby o Małgorzacie ani o pani Martin, ani o niebezpieczeństwie, które wisiało nad nim w domu przy skwerze.

Nelly go rozumiała. Rozumiała wszystkich. Nie miała przesądów i na ludzi i sprawy patrzyła zawsze od dobrej strony.

Pokoje, których okna w kształcie półksiężyców widoczne były z chodnika naprzeciwko, znajdowały się na półpiętrze. Miały chyba niskie pułapy i na pewno docierały tam wszystkie odgłosy z kafejki i kuchni.

Czy nie było to idealne schronienie? Mógł niemal wyobrażać sobie, że dalej jest z Angelą. Nikt by go tu nie szpiegował. Wychodziłby, kiedy mu przyjdzie ochota, nie rozglądając się na wszystkie strony, czy go ktoś nie śledzi.

Obie jędze nie mogłyby mu już urągać, obserwując jego reakcje, żeby kiedyś posłużyć się tym przeciw niemu.

Obszedł dookoła blok domów. Najpierw w jedną stronę, potem w drugą, spoglądając co chwila na ze-

garek, i wreszcie wśliznął się do kafejki, w której było mroczno i chłodno.

Przy ladzie stał jedyny klient, robotnik w bluzie polanej gipsem. Twarz miał ubieloną, zwłaszcza brwi i rzęsy, co sprawiało, że wyglądał jak pierrot.

Przestraszył się, że im przeszkadza. Nie był to właściwy moment, by irytować Nelly. Odczekał chwilę, już miał się wycofać, ale dała mu do zrozumienia, że nie jest to amator kuchni.

- Co dla ciebie?

- Małą szklankę białego, jak zwykłe...

— Małą czy dużą?

— Dużą...

I po co te oszustwa? Ma siedemdziesiąt trzy lata i nikomu nie musi zdawać rachunku. Dlaczego prosi o małą szklankę, wiedząc dobrze, że Nelly i tak poda mu dużą?

— Będzie tu jeszcze na tydzień roboty w tym narożniku — ciągnął dalej mężczyzna z twarzą pierrota. — Wcale nieźle. Jesteśmy we trzech i wszystko gra... Naleje mi pani do butelki, żebym mógł zanieść tamtym?

— To samo?

Żeby utoczyć wina, otworzyła zapadnię i powoli spuściła się do piwnicy. Jej mężowi poszczęściło się w życiu, nawet jeśli źle skończył, bo umarł młodo, nie mając jeszcze sześćdziesięciu czterech lat.

— Dziękuję pani szefowej...

Robotnik nie mógł oderwać wzroku od jej sterczących piersi. Jeśli zostanie jeszcze z tydzień w tej dzielnicy, na pewno pobawi się z nią tak jak inni. Miał bardzo jasne włosy, niespełna trzydzieści lat i kpiące spojrzenie;

- A więc?...

— Spróbujemy...

— Kiedy mogę się wprowadzić?...

— Kiedy chcesz... Po prostu zmienię pościel. Od śmierci Theo nikt tam nie spał.

Nie pytał o cenę.

— Przyniosę walizkę zaraz po obiedzie.

— Mam nadzieję, że nie urządzisz wielkiej przeprowadzki?...

Odczuwał taką ulgę, że na ulicy miał ochotę pogwizdywać. Dla niego było to wyzwolenie i dziwił się, jak mógł wcześniej nie pomyśleć o Nelly.

Wszedł do domu z oczami błyszczącymi złośliwością. Małgorzata przeżyje największy wstrząs w życiu. Wymknęła jej się ofiara. Znów samotna, nie będzie miała kogo szpiegować. Próbował odgadnąć przebieg rozmowy, jaką obie panie toczyć będą po południu nad filiżanką herbaty.

— Wszystko ze sobą zabrał? — zapyta ta żmija, pani Martin.

— Nie, tylko dużą walizkę...

— Może wyjechał w podróż? Na prowincję, bo ktoś tam umarł lub zachorował?...

— Nie ma wcale rodziny. Nie dostaje żadnych listów, same prospekty...

— Jaką miał minę?

— Jakby drwił sobie ze mnie...

— Jestem pewna, że wróci...

— Tak pani myśli?

— Nie śledziła go pani?

Na pewno zarumieni się, bo oczywiście śledziła go. Udało mu się wystawić ją do wiatru, co świadczy, że odzyskał równowagę.

Walizka była ciężka. Dodźwigał ją do placu Saint-Jacques, gdzie zawsze stały na postoju co najmniej dwie taksówki. Małgorzata nie ukrywała się, szła o dziesięć metrów za nim i kiedy odwracał się, mógł odczytać rozterkę na jej twarzy.

— Jeszcze zobaczysz, staruszko...

W pośpiechu zapomniała wziąć torebkę, nie miała więc przy sobie pieniędzy. Wsiadł do pierwszej taksówki i rzucił kierowcy:

— Dworzec Wschodni...

Dworzec, z którego w 1914 pojechał na front.

Została na skraju chodnika w swoim fiołkowym kostiumie, nie wierząc własnym oczom. Kiedy taksówka dopchała do posągu Lwa z Belfort na placu Denfert-Rotiereau, nachylił się:

- Niech pan pokręci się w kółko przez parę minut... Potem powiem panu, dokąd jedziemy...

A Dworzec Wschodni?

Zmieniłem zamiar...

— Pan płaci...

Wreszcie mruknął, obliczywszy, że Małgorzata zdążyła już wrócić do domu:

— Na róg ulicy des Feuillantines...

— Który róg?

— Wszystko jedno...

Promienie słońca padały pionowo, gorące, jaskrawe. Paryż ładnie pachniał. Od lat nie wdychał tak jak w tej chwili zapachów miasta.

Udało mu się nabić ją w butelkę! Nareszcie zrozumie, że nie jest zwierzęciem domowym, które się kupuje, żeby wytresować je według swego widzimisię.

Je teraz obiad, sama przy stole, sama w kuchni, sama w domu, z miną osoby, która nie jest głodna, która nigdy nie ma apetytu. Czysty duch unoszący się ponad przyziemnymi zdarzeniami!

— Już jesteś?... A mówiłeś...

Nelly też jadła sama, ale apetyt jej dopisywał.

— Zostawię tylko walizkę i wynoszę się... Nie miałem cierpliwości czekać i jeszcze raz jeść obiadu w jej towarzystwie. Pójdę do restauracji...

Zawahała się, czy ma zaprosić go do udziału w posiłku bardzo smakowitym: kiełbaski z Tuluzy, ugotowane w czerwonej kapuście, dobrze spęczniałe, soczyste, wydzielające przyjemną woń czosnku.

Wolała nie stwarzać precedensów. Była praktyczną kobietą, stąpającą mocno po ziemi. Znała mężczyzn. Dogady-

wała się z nimi tak dobrze głównie dlatego, że nie żądała od nich więcej, niż potrafili dać.

— Smacznego...

— Nawzajem...

Uśmiechnął się do niej z wdzięcznością i oddalił się, odmłodzony.

¶

* *

Przez całe życie stwarzał sobie, często bezwiednie, kolejno różne nawyki, rozkład czasu mniej lub bardziej ściśle określony.

Trwało tak przez tygodnie, miesiące lub lata, żeby ustąpić bez widocznego powodu innemu rytmowi, innym prawidłom, nowym zajęciom o nowych porach lub nowym maniom.

Z początku mieszkał z rodzicami, najpierw jako kawaler, potem w pierwszym okresie małżeństwa z Angelą. Życie w czwórkę — nie zawsze łatwe, bo matka źle znosiła obecność synowej. Ojciec zaś, ostrożny czy może zrezygnowany, unikał wtrącania się.

Matka przede wszystkim żądała przestrzegania pory posiłków i kiedy gotowała, nikomu nie wolno było kręcić się w pobliżu.

— Idź na spacer, w twoim wieku należy spacerować... Wolę to, niż żebyś mi się plątał pod nogami...

W rezultacie spędzali dużo czasu poza domem. Wędrowali piechotą. Dobrze znali ulice nadbrzeżne od Charenton do Pont-Neuf i zdarzało im się wałęsać po nich do późna w nocy.

Kiedy wynajęli własne mieszkanie nad kafejką, często jadali w restauracjach, czy dlatego, że Angela zasnęła sobie po jego wyjściu, czy że mieli ochotę na jakąś specjalną potrawę. Bawili się odkrywaniem małych lokalików, przytulnych i niedrogich, gdzie stali klienci mieli swoje serwetki w odpowiedniej przegródce szafki.

W pewnym okresie była to „Melania" w Hali Win,

polem „Ojciec Charles" na Wyspie Świętego Ludwika, potem inne jeszcze i każdy z tych okresów różnił się od poprzednich nie tylko zapachem, ale i swoistą barwą.

To samo było z niedzielami. Którejś wiosny kupił motocykl i jeździli nim do lasu w Fontainebleau, ale kiedy o włos uniknęli wypadku, Angela przestraszyła się i odprzedał maszynę.

Przez dwa lata byli stałymi pasażerami pociągu do Lagny i znali wszystkie co lepsze knajpki w okolicy.

Tańczyli w gospodach podmiejskich. Zaczął łowić ryby na wędkę i Angela próbowała go naśladować.

Potem szpital, gdzie przychodził zawsze wcześniej, siadał na tej samej ławeczce, przeglądał wieczorną gazetę., którą przed chwilą kupił, utyskując, jeśli dzwonek oznajmiał, że już czas na wizyty, zanim przeczytał nagłówki.

Wdowieństwo, samotne życie w zaułku, powieści pochłaniane przy oknie, płacz niemowlęcia na dole, partie belotki po południu w, kafejce na Denfert-Rochereau...

Małgorzata...

Teraz znowu znalazł się w innym świecie, z którym postanowił zżyć się, kontrolując swoje postępki i zachowanie.

Pokój Nelly wychodził na ulicę. Jego — na podwórko. Przez okno widział tylko inne okno z szybami tak brudnymi, że nie można było odgadnąć, co się za nimi mieści. Gdzieś w jakimś niewidocznym warsztacie młotek bił o metal powolnym, regularnym rytmem. Czasem liczył uderzenia, czekając na kojącą przerwę.

Nie skarżył się. Był szczęśliwy, że wydostał się z atmosfery zaułka.

-Co robisz całymi dniami?

- Spaceruję, czytam...

— Jeśli w twoim pokoju jest za ciemno, możesz posiedzieć w moim, koło okna, pod warunkiem, że nie będziesz palił tych cuchnących cygar...

Do niej nie miał pretensji jak do Małgorzaty.

— Najbardziej chciałbym ci w czymś pomagać...

— Zobaczymy.

Z wyrazu jej twarzy można było odgadnąć, że nie jest uszczęśliwiona jego obecnością.

— Zresztą … dziwny z ciebie facet.

Kupił okazyjnie pięć czy sześć książek, cały zapas. Po raz pierwszy wrócił do kafejki przy placu Denfert--Roehereau. Właściciel poznał go.

— Proszę! To pan!... Był pan chory?

Przyglądał mu się troskliwie, jakby Bouin źle wyglądał. Rzeczywiście ostatnio bardzo zeszczuplał.

Widać to było zwłaszcza po szyi. Kołnierz koszuli od-stawał, obnażając sterczące jabłko Adama z obwisłą skórą po obu stronach.

Popatrzył w kierunku stołu przy oknie, gdzie jego koledzy grywali zwykle w karty.

— Szuka pan dawnych gości? Będzie już z rok, jak umarł duży Desire, Pułkownik, jak go nazywano, chociaż był co najwyżej starszym sierżantem...

— Co mu było?

— Zasłabł na ulicy. Ten mały grubas... Zaraz... mam jego nazwisko na końcu języka... Loireau?... Voiron?... Ten, co miał sklep papierniczy przy Porte d'OrIeans... Mniejsza o to. Wrócił do swojej wsi w Dordogne, gdzie mieszka jego rodzina. Nie wiem, co się stało z innymi. Ludzie zjawiają się i znikają... Czego się pan napije?

— Czerwone bordeaux...

— Józef, jedno czerwone bordeaux... A u pana? W porządku? Wszystko dobrze się układa?

— Nie skarżę się...

— Żona nie żyje, prawda? Miała wypadek?... Widzi pan, że nie zapominam swoich: klientów. Czasem ucieka mi nazwisko, ale mam pamięci twarzy... Dalej pan mieszka w tej dzielnicy?

— Koło placu Saint-Jacques.

— To nie pan przypadkiem... Mam!... Ożenił się pan z właścicielką całego skweru...

— Tylko domów po jednej stronie — poprawił.

— To i tak niemały grosz. Naprzeciwko budują nowy gmach, prawda?

— Jeszcze nie. Nie zaczęli prac. Paru lokatorów ma wyprowadzić się dopiero za miesiąc.

— Szuka pan partnerów?

— Nie zależy mi specjalnie...

Nie znał graczy, którzy zajęli miejsce dawnych. Byli od tamtych młodsi.

— To brydżyści. Siedzą tu do ósmej wieczorem. Ci od belotki pojawią się około czwartej...

Wrócił na ulicę des Feuillantines, nadkładając drogi, żeby przejść przez park Montsouris. Omal nie skręcił w ulicę de la Santé, żeby spojrzeć z daleka na dom w głębi zaułka, ale był to śmieszny pomysł i zaniechał go.

Wszedł przez sień dla lokatorów, uchylił drzwi kuchni oznajmiając:

— Idę na górę...

Starał się być dyskretny. Ledwo przyszedł, już się bał, że naprzykrza się swoją obecnością, niemal stąpał na palcach. Czytał trochę, wyszedł na chwilę wypalić cygaro, wrócił i przyglądał się przechodniom na ulicy.

Lubił zapach unoszący się w pokoju Nelly, zapach dość mocny, który przypominał mu krótkie chwile spędzane z nią w kuchni.

Około siódmej zszedł znowu, chciał zajść gdzieś na kolację. Nelly stała za ladą, mając przed sobą pół tuzina klientów. Przy jedzeniu czytał gazetę i wyobrażał sobie Małgorzatę w kuchni, samotną, chyba że zaprosiła panią Martin.

Miałby dobrą zabawę, gdyby schował się w jakimś kącie; po południu, kiedy z uderzeniem czwartej pojawiła się pani Martin.

- Nareszcie się go pozbyłam! — na pewno westchnęła Małgorzata.

— Ja uważam jego postępowanie za haniebne po tym wszystkim, co pani dla niego zrobiła... Kiedy pomyślę, że przygarnęła go pani, jak przygarnia się kota z ulicy...

Jeśli tak właśnie powiedziała, popełniła błąd, gdyż w

tym domu lepiej było nie wspominać o kocie. Może mówiła o psie?

— Nie boi się pani, że w tym stanie ducha on...

— Czego mam się bać?

— Nie wiem... Kiedy ktoś nie jest przy zdrowych zmysłach...-

Czy żona słyszała, jak kazał kierowcy jechać na Dworzec Wschodni? Jeśli tak, głowiła się, dokąd też mógł się udać. Nie znał żywej duszy na wschód, od Paryża, ani w podmiejskich osiedlach, ani w dalej położonych miastach. Trzeba było wojny światowej, żeby w 1914 wsiadł do pociągu na tym dworcu. Później z Angelą nigdy nie wybrali się dalej niż do Lagny.

Kiedy wrócił, Nelly jadła na brzeżku stołu.

— Dali ci coś dobrego?

— Antrykot i frytki.

— Uwielbiam frytki, ale nigdy ich nie robię, bo klienci nie lubią tego zapachu. Czasem jem je w niedzielę, kiedy zdarza mi się wyjść z domu...

— A co robisz w niedzielę, jeśli nie wychodzisz?

— Śpię... Słucham radia... Czytam niedużo, bo książki nie bardzo mnie interesują... Zawsze te same historie i zawsze nieprawdziwe...

— O której zamykasz?

— Kiedy mi się chce spać... Wieczorem nikogo tu prawie nie ma... Czasem tylko ktoś wpadnie... Nieraz golnę sobie kieliszek... To nigdy nie zaszkodzi, jeśli na dodatek nie mam nic do roboty...

— Pójdę już sobie...

— Dlaczego?

— Nie chciałbym ci przeszkadzać... Przyrzekłem ci to...

— Tak naprawdę, to ty jesteś nieśmiały... Nigdy bym nie przypuszczała... Czy przypadkiem nie polazłeś w stronę ulicy de la Santé?

— Ależ skąd! Po co miałbym tam chodzić? .

— Nie wiem.... Może żeby z daleka zobaczyć żonę, zorientować się, jak zniosła cios?... Chcesz, żebym ci powiedziała, co myślę? Potrzebujecie się oboje nawzajem

jak młoda para po ślubie... Nie zaprzeczaj... Zobaczysz... Według mnie, wrócisz do niej najdalej za dwa tygodnie...

— Wolałbym już... Sam nie wiem... Wszystko jedno co...

— Dajmy na to, że się mylę... No dobrze! Ja teraz pozmywam naczynia, a ty możesz tymczasem wynieść na chodnik pojemniki na śmieci. Znajdziesz je na podwórku po drugiej stronie sieni. Te z czerwonymi kółkami. Każdy lokator ma swój kolor albo swoje litery, bo inaczej nikt by się nie rozeznał i dźwigałby cudze brudy...

Dwukrotnie klient przerwał jej czytanie gazety; Bouin za każdym razem usuwał się, na wypadek gdyby potrzebna jej była kuchnia.

— Słuchaj no, czy nie przestaniesz wchodzić i wychodzić jak figurki ze szwajcarskich barometrów?... Co ty sobie wyobrażasz?... Że wypinam, tyłek do wszystkich klientów?... Nie jesteś jeden i będą inni, zgoda... Ale robię to dla własnej przyjemności i mam prawo przebierać...

Weszli na górą kolo dziesiątej. Bouin zdążył już spuścić żaluzje.

— Też się tak wcześnie kładłeś spać?

— Tak... Chyba że był ciekawy program w telewizji...

— Nie mam telewizora... Za drogo kosztuje.

Przyrzekł sobie kupić jej jutro aparat. Przyjemnie będzie wieczorem razem z nią oglądać program.

Nie zdając- sobie z tego sprawy, odbudowywał już światek dość podobny do tego, z którego uciekł.

— Nie mam wanny, tylko prysznic. Tu za drzwiami... Latem nie ma gorącej wody. Co prawda, wcale jej wtedy nie trzeba...

Ściągnęła suknię przez głowę. Drzwi między pokojami były otwarte. Zdjął marynarkę, krawat, czekał niepewny, czy ma się dalej rozbierać.

— Co robiłeś dziś po południu?

— Wypiłem szklaneczkę na placu Denfert-Rochereau... W kafejce, gdzie przez pewien *czas* codziennie grałem

w karty... Koledzy rozproszyli się... Nowych gości nie znam...

— A potem?

— Poszedłem do parku Montsouris i usiadłem na ławce...

— Żeby popatrzeć na dzieci, jak się bawią w alejkach...

Kpiła z niego.

— ...czy rzucać okruszki ptaszkom?

— Z czego się śmiejesz?

— Z niczego... Życie jest zabawne... A tobie nie wydaje się śmieszne? Popatrz! W tej chwali chciałbyś zaszyć się w jakiś kąt, żebym *nie* zamknęła drzwi, zanim się rozbiorę. Znasz moje pośladki, ale nigdy nie widziałeś mnie gołej... No, przyznaj się!

— To prawda... Nieraz myślałem o tym wieczorami...

— ...próbując zasnąć w sypialni, twojej starej żony!... Dobra, jeśli masz ochotę, twój pobyt tu uroczyście zaczynamy od zabawy w łóżeczku... Nie w moim... W twoim łóżku i w twoim pokoju...

Już naga, ułożyła starannie swoje rzeczy, kręcąc się bez cienia wstydu.

— No jak?

— Dobrze — szepnął.

— Ty zostaniesz tak, jak jesteś?

Był w spodniach i koszuli.

— Wolałbym...

Nie kwapił się do zdjęcia ubrania. Twarz ostatecznie mogła zwodzić, ale wychudłe ciało było ciałem starca i lękał się, że spojrzy na niego drwiąco lub z politowaniem, i

— Jak to zrobimy?

Choć mieli tu łóżko, w końcu wszystko odbyło się zupełnie tak samo jak na dole za kuchennymi drzwiami.

— Fajnie! Teraz zamykam się i śpię. Dobranoc...

Złożyła żartobliwy pocałunek na jego czole, weszła do swojego pokoju i usłyszał, że kładzie się do łóżka. Następny dzień upłynął dość podobnie, z tą różnicą, że

wieczorem, w kuchni był już zainstalowany telewizor. Zamiast podziękowania Nelly rzuciła mu, kiedy wnoszono aparat:

— Wcale nie jesteś taki głupi...

— Bo co?

— Bo nic... Przynajmniej będzie co robić wieczorem... Oglądałeś telewizję razem z twoją starą?

- Tak..

–A z pierwszą?

— Nie mieliśmy telewizora...

W niedzielę leżała w łóżku do jedenastej i kiedy otworzyła drzwi, była jeszcze odurzona snem.

— Nie wyszedłeś?

— Czekałem, aż wstaniesz, żeby cię zaprosić na obiad w dobrej restauracji, gdzie wolisz, w Paryżu lub w okolicy...

— Taki jesteś bogaty?

— To mi sprawi przyjemność... Będziesz mogła najeść się frytek...

— Co byś powiedział na Saint-Cloud? Była tam kiedyś taka gospoda nad rzeką, z prawdziwymi altankami. Byliśmy tam z Theo... Nie wiem, czy jeszcze istnieje...

Pojechali metrem. Po raz pierwszy widział ją poza domem, w bawełnianej sukience i w białych pantofelkach. Szukali gospody nad Sekwaną, w końcu znaleźli, musieli przeszło godzinę czekać na wolny stolik.

— Wiesz, ile lat miałam, kiedy pierwszy raz tu byłam?

— Dwadzieścia?

— Osiemnaście... Jeszcze wtedy chodziłam po bulwarze Sewastopol... Theo wybrał mnie przypadkiem, równie; dobrze mógł wybrać każdą inną.. Stałyśmy w trójkę na tym samym rogu i w ciemności pokazał na mnie, na chybił trafił... Potem nie odszedł od razu... Zaczął mi zadawać pytania... Nie podobało mi się to... Pełno jest typów, którzy fundują sobie dziewczynę tylko po to, żeby opowiedziała im swoje życie, i takich, którzy nie przestają płakać nad jej nieszczęsną dolą... Wrócił po raz drugi, zaproponował mi obiad we dwójkę i przywiózł ,

mnie tutaj taksówką, a jakże! Nie myślałam wcale, że za trzy miesiące będę jego żoną... Czy to nie komiczne? Dzisiaj znów jestem, w tym samym miejscu z tobą, który...

Zamilkła. Wiele by dał, żeby usłyszeć, co miała zamiar powiedzieć, ale nie śmiał nalegać.

Pospacerowali nad Sekwaną^ popatrzyli na galary, a po powrocie Nelly oznajmiła:

— Dobra! Ten jeden raz możesz zjeść razem ze mną... W niedzielę wieczór wystarcza mi szynka i ser...

Oglądali telewizję. Nie rozumiała serialu, bo nie widziała poprzednich odcinków, i opowiedział jej całą historię. Na górę weszli dopiero o jedenastej i od razu się rozstali.

— Ja idę do łóżka... Coś mi się wydaje, że za długo byłam na słońcu... Tak rzadko wychodzę z domu...

W poniedziałek rano sprawił jej niespodziankę — zamiótł podłogę, uporządkował kuchnię i zanim zeszła na dół, przyrządził kawę. Zachowywał się trochę jak pies, który znalazł nowego pana i chce mu się na wszelki sposób przypodobać.

On też bał się, że wyrzucą go na ulicę, i podejrzewał, że dobry humor Nelly szybko minie.

Tolerowała go, bawiła ją ta sytuacja. Na jak długo? Starał się nie rzucać w oczy, świadczył drobne przysługi, usuwał się skwapliwie, kiedy nie był potrzebny.

Znów poszedł do parku Montsouris, gdzie istotnie przyglądał się zabawom dzieci. Sam ich nie miał. Z przyjaciółmi, a raczej z kolegami, spotykał się w barach, nieczęsto u nich w domu, a i to wyłącznie wieczorem, kiedy dzieci już spały.

Obserwował je ze zdumieniem, jakby przekroczywszy siedemdziesiątkę odkrywał młodość. Najbardziej zdumiewało go, że w obecności obojętnych matek obrzucają się brzydkimi wyrazami.

Czy za jego czasów też tak było? Mając trzynaście lat nie ośmieliłby się przyznać matce, że wie, jak rodzą się dzieci.

Trzymaj się prosto... Nie dłub w nosie... Jedz, jak należy... Gdzieżeś się włóczył, że naniosłeś tyle błota?... Wytrzyj nogi...

Gdyby miał dzieci, dziś byłyby już dorosłe i same z kolei miałyby dzieci...

Czy byłby przez to szczęśliwszy? Czy jest nieszczęśliwy? Czy był kiedyś w życiu naprawdę; nieszczęśliwy?

W domu przy skwerze Sebastiana Doise? No tak. Przeżył tam ciężkie chwile. Gryzł się zwłaszcza od sprawy z kotem. Żona go nienawidziła. On też jej nienawidził. Któregoś dnia, kiedy nieustannie przykładała dłoń do piersi, jakby serce przestawało jej bić, napisał na karteczce:

Bodajbyś zdechła

Czy naprawdę tego chciał? Była to w każdym razie odpowiedź na jej złośliwości. Potrafiła wymyślić bardziej wyrafinowane niż on, miała szatańską umiejętność przerzucania na niego całej winy.

Ustanowiła raz na zawsze, że on jest potworem, a ona niewinną ofiarą...

Po co teraz o tym myśleć? Wymknął jej się. Jest wolny. Lubił małą kafejkę z czerwoną podłogą, kuchnię przyjemnie pachnącą, oba pokoje, to miejsce przy oknie w kształcie półksiężyca, na którym siadywał w ciągu dnia. Miło było patrzeć, jak Nelly, ciężka od snu, w zmiętej koszuli, uchyla drzwi swego pokoju, a wieczorem zostawia je otwarte, podczas gdy się rozbiera.

- Mogę u ciebie kupić butelkę czerwonego bordeaux? Bierze mnie czasem na górze chętka na szklankę wina, a nie chcę ci przeszkadzać.

— Butelkowanego, po franku szklanka?

— Może być...

— Przyniosę zaraz z piwnicy.

No i dobrze! Życie stabilizowało się. Znów znalazł własny kąt.

Trwało to nieco ponad tydzień, dokładnie dziesięć dni, w tym dwie niedziele, ta w Saint-Cloud i niedziela z burzą, którą spędzili snując się między parterem a pierwszym piętrem, aż w końcu znudzeni i skwaszeni zasiedli przed telewizorem.

W przyszłości wyda mu się wręcz niewiarygodne, że współżycie z Neliy trwało tak krótko, bo w myśli przyłączył ją do kobiet, z którymi długo razem mieszkał, do matki, Angeli i Małgorzaty. I ją też w końcu będzie mylił z innymi.

Trudno to było wytłumaczyć. Pamiętał słowa, sposób bycia, zdania, spojrzenia zwłaszcza, a jeszcze bardziej własną reakcję na te spojrzenia, ale nie zdawał sobie sprawy, czy jest to wspomnienie z tego czy innego etapu jego życia.

Pewnego ranka koło dziesiątej czytał gazetę przy oknie w kształcie półksiężyca.

Czytywał więcej gazet niż dawniej, nie chciało mu się zabierać do długiej powieści. Przy każdej nowej książce trzeba była przebrnąć przez pewną ilość stron, żeby oswoić się z postaciami, zorientować w imionach, a i tak często musiał wracać do początku.

Miał tu więcej pustych godzin niż w domu na skwerze, bo ściśle trzymał się postanowienia, żeby nie przeszkadzać Nelly w porze, kiedy mogli trafić się klienci. Dużo przebywał poza domem. Nie wystarczało to, by wypełnić dzień. Nadał siadywał na ławce w parku Montsouris, obiady i kolacje jadał na mieście, prócz dwóch przypadków, kiedy Nelly zaprosiła go do stołu.

Tego ranka podniósł wzrok i zobaczył ją na chodniku naprzeciwko. Była to na pewno Małgorzata, nieruchoma, z torbą na sprawunki w ręku, patrząca na niego z bolesnym wyrazem twarzy, jakiego nigdy u niej przedtem nie widział.

Taki nim to wstrząsnęło, że omal się nie odezwał, jakby nie dzieliła ich szerokość jezdni i wysokość piętra.

okno było otwarte, usłyszałaby go, gdyby zawołał podniesionym głosem.

Nie wyobrażał sobie nigdy, że może tak wyglądać. Jej pewność siebie i wyniosłość zniknęły bez śladu. Ta kobieta szukająca jego spojrzenia nie była to już dawna panna Doise, ale zwyczajna kobiecina, sterana wiekiem, wymęczona, niespokojna, może chora.

Postarzała się jeszcze bardziej i w pośpiechu wystroiła się w podniszczoną suknię, w której nie było jej do twarzy.

Czy wzrok go myli, czy wargi Małgorzaty naprawdę poruszały się jak w modlitwie?

Speszony, zbity z tropu, powstrzymał się z trudem, żeby nie wstać, nie poruszyć się, chciał odwrócić oczy. Na wąskim chodniku przechodnie ocierali się o nią, potrącali ją w przejściu. Tkwiła bez ruchu, jak zahipnotyzowana.

Potem powoli, ociągając się, znużonym krokiem ruszyła w stronę ulicy Saint-Jacques.

Dobry kwadrans siedział jeszcze nad gazetą, której już nie czytał. Zszedł na dół. Nelly za ladą obsługiwała ślusarza z rogu ulicy.

— Szklankę białego...

Przyglądała mu się ciekawie, machinalnie podała mu wino, ciągnąc dalej zaczęte zdanie.

— ...jeżeli już była jedna, to będą i następne... Pogoda jest pochmurna i parę dni potrwa, nim się przejaśni...

W końcu domyślił się, że mówi o burzach. Poprzedniej nocy przeszła trzecia w ciągu czterech dni.

— Ja chcę tylko — mruknął ślusarz — żeby było ładnie w niedzielę... Przyrzekłem dzieciakom, że je zabiorę do lasu i...

Wyszedł ocierając usta. Nelly i Bouin spojrzeli na siebie.

— No i jak?

— Co i jak?

— Nie powiesz mi, że jej nie widziałeś...

— Widziałem, owszem...

— I jakie to na tobie zrobiło wrażenie?

— Żadne... Dlaczego?...

Ta też uważała, że czyta w jego myślach. Miał jej to za złe. Przykro mu było, że i ona nie różni się od innych.

Nie zaszedł tu, żeby się spowiadać. Sam nie wiedział, po co przyszedł. Na pewno ,nie po to, aby schować głowę w matczyną spódnicę.

Mało brakowało, a wyjąkałby:

— Okropnie się postarzała...

Nie powiedział tego, bo Nelly doszłaby do wniosku, że lituje się nad żoną. Po raz pierwszy nie czuł się przy niej swobodnie i zaczynał jej nie ufać.

— Dokąd idziesz?

— Przejść się...

Nie miał zamiaru dogonić Małgorzaty. Skierował się w przeciwną stronę, starał się o niej nie myśleć.

Pogoda była nieprzyjemna. Spędził przy oknie więcej czasu niż w inne dni. Wybrał się jednak do parku Montsouris, gdzie posiedział na swojej ławce nie dłużej niż parę minut.

Spodziewał się tego. Nazajutrz o tej samej porze zobaczył ją w tym samym miejscu, niemal w identycznej pozie, patrzącą w górę, i w tej kobiecinie drobnej i kruchej było coś patetycznego, co nasuwało na myśl dewotki pochłaniające wzrokiem figurę Najświętszej Panny,

Nelly tym razem nic nie powiedziała, ale nie zachowywała się wobec niego tak naturalnie jak poprzednio. Jak gdyby sobie myślała:

— Coś cienko przędziesz, mój chłopczyku...

To była prawda. Denerwował się. Sądził, że udało mu się wyzwolić, a teraz zaczynało mu świtać w głowie, że było to tylko złudzenie.

Pojawiła się trzeci raz, czwarty, coraz bardziej żałosna, jakby miała lada chwila paść na chodnik z wyczerpania.

Pewnego popołudnia na ulicy odwrócił się machinalnie i okazało się, że idzie o jakieś trzydzieści metrów za nim.

O tej porze bywał w parku Montsouris. Nie zmienił nic w swoich zwyczajach ani w trasie spacerów. Szedł naprzód dużymi krokami, jak zwykle. Słyszał za sobą kroczki drobne, przyśpieszone i w pewnym momencie zwolnił na myśl, że na pewno się zadyszała.

Cierpiała. To było widoczne. Brakowało jej go. Nie umiała oswoić się z pustym domem i ta jej obecność za nim była wyznaniem, prośbą.

Usiłował powściągnąć wzruszenie. Usiadł na swojej ławce, podczas gdy ona dalej stała na zakręcie alei.

— Byłeś tam?

Kiedy wrócił na ulicę des Feuillantines, Nelly zaczęła go wypytywać. Jak mogła odgadnąć, że Małgorzata szła za nim, że kusiło go, aby...

— Nie...

— Wiesz, Emil, mną się nie przejmuj... Ja zrozumiem...

— Zirytowała go. Przez całe życie nie znosił, kiedy go sądzono, a jeszcze bardziej, kiedy ludzie przewidywali, jak postąpi, podczas gdy on sam jeszcze nie wiedział i był w rozterce.

Wcale nie chciał wrócić na skwer Sebastiana Doise. Tu było mu dobrze. Miał swoje przyzwyczajenia, swoje nawyki.

Niemniej nie doznawał już tego poczucia wyzwolenia co w pierwszych dniach.

Udało mu się prawie zapomnieć o Małgorzacie. A teraz znowu narzucała mu się, nieśmiało, z pokorą, o jaką nigdy by jej nie posądzał.

Czy to pani Martin doradziła jej stosować takie metody? Czy obie kobiety nadal spotykały się co dzień po południu, żeby o nim rozmawiać?

Zadawał sobie te pytania i inne jeszcze, tracąc spokój ducha.

— Wychodzisz?

— Muszę się przewietrzyć... Dzień był taki duszny...

Tego wieczoru po zapadnięciu zmroku skierował się niemal wprost na ulicę de la Santé, raz tylko zbaczając z drogi, żeby sobie udowodnić, że nie jest zdecydo-

wany; minął zaułek, zobaczył latarnię gazową, usłyszał szum fontanny. Nie mógł z tej odległości dostrzec, czy w którymś z okien ostatniego domu pali się światło.

Nelly o nic go nie pytała. Kiedy wrócił, leżała już w łóżku. Zamknął drzwi swojego pokoju, mówiąc szeptem, żeby jej nie zbudzić, jeśli spała:

— Dobranoc...

— Dobranoc...

Noc nie była dobra. Budzi! się co najmniej pięć razy, wciąż wstawał pod pretekstem zrobienia siusiu, za każdym razem zasypiał z trudem, aby pogrążyć się w zawiłe sny, których nie umiał odtworzyć po obudzeniu.

Wiedział jedno tylko — że się broni. Że nie chce. Nie potrafiłby ściśle określić, czemu tak gwałtownie się sprzeciwia, ale gnębiło go, że cały świat sprzysiągł się przeciw niemu i jest zupełnie osamotniony.

O szóstej wstał zmęczony, wymiótł trociny, wyczyścił kuchnię na wysoki połysk, wniósł pojemniki. Napił się czerwonego wina z butelki i kiedy Nelly zeszła na dół, w domowych pantoflach, prawie naga pod swoją czarną sukienką, nie miał jej nic do powiedzenia.

Znów przyszła, tak jak oczekiwał, stanęła dokładnie w tym samym miejscu, w tej samej pozie, zawsze z tym samym pytaniem w spojrzeniu, które utkwiła w nim i z którego nie mógł się potem otrząsnąć.

Miała bladoniebieskie oczy, ale kiedy była wzruszona, błękit przechodził w brudnawą szarość i twarz traciła cały blask, przybierając pożółkły ton lichej kości słoniowej.

Wyglądała, jakby coś w niej zgasło, jakby zrezygnowała z walki.

Jeszcze się wzbraniał przed! współczuciem, ale już nie bardzo mu się to udawało. W południe nie miał zupełnie apetytu i zostawił na talerzu połowę obiadu. A przecież poszedł do swej ulubionej restauracji i zamówił potrawkę z cielęciny po prowansalsku.

— Nie smakuje panu? — zaniepokoił się właściciel.

— Smakuje, ale nie jestem głodny...

— To przez ten upał... Widać, że nie znosi pan upału...

Ten też przyglądał mu się uważnie, jakby chciał wytropić na jego twarzy ślady Bóg wie jakiej choroby.

Czy nie mogą zostawić go w spokoju? Nikomu nie musi zdawać rachunków, a cały świat uwziął się, żeby go obserwować i osądzać.

Czy on osądza Nelly? Czy kiedykolwiek krytykował matkę, Angelę, Małgorzatę?

W końcu rozzłościł się, uznał, że żadna nie jest lepsza od innych, że wszystkie go nienawidzą. Jeśli teraz przyjdzie kolej na mężczyzn...

Nie wrócił do domu, wskoczył do przejeżdżającego autobusu, wysiadł na bulwarze Saint-Michel i skręcił nad Sekwanę, Szedł długo, minął składy towarowe w Bercy, nie patrząc, jak niegdyś, na wyładowywane tu galary.

Ledwie rzucił okiem na swój dawny dom. Dom jego rodziców za śluzą w Charenton, dom jego dzieciństwa, dawno już zburzono, żeby na tym miejscu wznieść bloki mieszkalne.

Za bardzo się zmęczył, by pieszo wrócić na ulicę des Feuillantines. Zaczekał na autobus, chmurny, niespokojny. W nosie kręciło go od kurzu i uciskały go trzewiki. Od lat nie zrobił tak długiego marszu.

Miał już wejść do sieni, w końcu pchnął drzwi kafejki. Nelly nie było za ladą. Za firanką, która osłaniała drzwi do kuchni, dostrzegł poruszający się cień.

Nie czuł wcale zazdrości. Wróciła obciągając dół sukni i w chwilę później jakiś mężczyzna przeszedł chodnikiem z twarzą ostentacyjnie odwróconą w drugą stronę.

— Znowu tu była...

Milczał. Nie miał nic do powiedzenia.

— Wydawała się zbita z tropu...

Bo nie poszedł jak zwykle, do parku Montsouris. Może przypuszczała, że jest chory?

— Tym razem przeszła przez ulicę...

— Weszła tu?...

— Nie... Mało brakowało... Dotknęła gałki końcem pal-

ców... Wpatrzyła się we mnie, jakby mnie fotografowała, potem zdecydowała się pójść sobie... Nie zapytał:

— Jak wyglądała?

Zdawał sobie sprawę z wysiłku, na jaki zdobyła się Małgorzata, żeby przejść przez jezdnię i zbliżyć się do domu. Prawie tu weszła... : Musiałaby odezwać się do Nelly... Co by jej powiedziała? Odważyłaby się spytać ją o wiadomości? Błagałaby, żeby jej go zwróciła?

— Powinieneś się zdecydować...

— Na co?

Wzruszyła ramionami, jak wobec dziecka, które zadaje niemądre pytania.

— Bawicie się oboje w kotka i myszkę.

— Nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć...

— Świetnie rozumiesz i dobrze wiesz, jak to się skończy...

— Jak?

Znowu wzruszyła ramionami.

— Co mi tam! Napij się...

Przed telewizorem prawie do siebie nie mówili. Jakby każde znajdowało się samo przed ekranem. Weszli na górę i powiedzieli sobie dobranoc na podeście.

Spał lepiej, przybity jeszcze, ale mniej wzburzony niż poprzedniej nocy. Teraz jego żal zwrócił się przeciw Nelly. Automatycznie wykonał drobne poranne prace, a kiedy zeszła, unikali nawzajem swojego wzroku.

Małgorzata stawiła się punktualnie o dziesiątej. Jej też nie patrzył prosto w twarz. Uciekał wzrokiem, jakby chronił tajemnicę, którą inni usiłowali mu wyrwać.

W końcu oddaliła się. Dopiero wtedy powiódł za nią spojrzeniem, dopóki nie zniknęła za rogiem ulicy.

Na dole byli klienci. Docierały tu wesołe głosy, robotnicy odpoczywali podczas przerwy lub stawiali sobie kolejkę. On też kiedyś miewał przerwy w pracy i wstępował z majstrem łub przedsiębiorcą do baru, żeby coś przegryźć.

Stał przed łóżkiem Nelly, blaszanym łóżkiem, jakie

widywało się, kiedy był jeszcze młody. Wrócił do swojego pokoju, otworzył szafkę — przechowywał w niej butelkę czerwonego bordeaux, które sam utoczył z beczki w piwnicy.

Jak Theo... Theo, który nie żyje... Śmierć złapała go migle, całkiem nie przygotowanego, tak samo jak jego matkę... Jemu też może się to przytrafić... I każdej chwili może to spotkać Małgorzatę, która wróciła już do domu i jest sama w kuchni...

Kto znalazłby jej zwłoki?... Po jakim czasie?...

Walczył z sobą, wzbraniał się ustąpić. Nelly miała rację. W głębi duszy wiedział, jak się to wszystko skończy, i dlaczego więc nie skończyć z tym od razu?

Śmiała się tam na dole z czyjegoś tłustego dowcipu, ile był pewien, że nasłuchuje bacznie jego kroków na piętrze.

Walizka stała na szafie. Wspiął się na palcach, żeby jej dosięgnąć, zdjął z wieszaków ubrania, upchał bieliznę i zapasowe obuwie, wszystko razem.

Niech sobie mówi, co chce, niech mu się przygląda, ile jej się żywnie podoba. Nie da się wodzić za nos. Ma prawo żyć, jak chce, robić, co mu serce dyktuje.

Przyjrzał się sobie w lustrze i stwierdził, że się postarzał.

Po co ma rozumieć? Głowa go rozbolała od ciągłych pytań, jakie zadawał sobie przez ostatnie dni.

Zszedł ze schodów powoli, z walizką w ręce. Mógłby wymknąć się ukradkiem, wyjść wprost na ulicę i skręcić na lewo.

Był jej winien pieniądze. Nie zapłacił za pokój, za butelki, które brał do siebie, ani za szklanki wypite przy ladzie.

Robotnicy już wyszli. Został jeszcze tylko ten ubielony, podobny do pierrota. Czuł się tu jak stały gość. Czy był już za kuchennymi drzwiami, z wzrokiem utkwionym w firankę?

Nelly spojrzała na niego bez zdziwienia.

— Chcesz uregulować rachunek, tak?

Nie gniewała się. Odnosiła się do niego jak zawsze. Poszukała w zeszycie jego kartki.

— Nie będę ci liczyć za pokój.

— Nie mogę się na to zgodzić...

— Nie wiem, ile to ma kosztować ani nawet ile dni tu mieszkałeś...

— Jedenaście.

Wydawała się zaskoczona, że! to obliczył.

— Jak sobie chcesz. Powiedzmy trzy franki dziennie...

— To za mało. Co najmniej pięć...

— Nie będziemy się spierać... Za konsumcję pięćdziesiąt dwa franki.

— I jeszcze dwa posiłki...

— Musiałabym odliczyć obiad w Saint-Cloud... To ja cię zaprosiłam...

Rudy pierrot czekał, nie bardzo rozumiejąc, o co chodzi. Bouin wyjął z portfelu banknot.

— Nie masz drobniejszych?

— Nie starczy mi...

W kasie też nie było dość pieniędzy.

— Spróbuję zmienić.

Wyszła, przebiegła przez plamę słoneczną, wprawiła w ruch dzwonek u drzwi pobliskiej cukierni.

— Proszę! Zgadza się? Napijesz się wina?

Nie mógł odmówić. Sobie też nalała.

— Szefowa funduje — zakpił.

Wychylił swoją szklankę jednym haustem i wymamrotał nieporadne pożegnanie. Wyszedł nie odwracając się, choć czuł na karku spojrzenie Nelly i jej gościa. Za chwilę pójdą razem do kuchni i od tej myśli poczuł ucisk w sercu.

Znalazł się znów na znajomej trasie, którą chodził przez wiele lat. Na dziedzińcu szpitala kobiety, dzieci, starcy ustawili się w ogonku przed wejściem, do przychodni. Zakratowana karetka aresztancka stała nieco dalej przed więzieniem.

Skręcił na lewo w zaułek. Z jednej strony domy były puste, z zamkniętymi okiennicami na parterze i oknami

bez firanek na piętrze. Linia oddzielająca światło od Cienia przebiegała dokładnie pośrodku jezdni.

Wie posłużył się kluczem, który przypadkiem zachował. Zadzwonił, postawiwszy walizkę na chodniku. Nastawił uszu, zaskoczony panującą wewnątrz ciszą. Wzdrygnął się, kiedy drzwi się uchyliły i dostrzegł przez wąską szczelinę skrawek twarzy.

Przygotował już przedtem kartkę papieru, ale nie rzucił zwiniętej kulki zwykłym ruchem kciuka i środkowego palca. Kiedy drzwi otworzyły się na oścież, bez słowa podał ją żonie.

Małgorzata wzięła ją także w milczeniu, ale z niepokojem w oczach. Wyjęła okulary z kieszonki fartucha. Przeczytała i zostawiwszy drzwi otwarte poszła do salonu.

Przekroczył próg. Otoczył go znajomy zapach. Powietrze, którego gęstość i. ciężar przechował jakoś w pamięci. W salonie widział klatkę, nieruchomą papugę.

Małgorzata pisała oparta o fortepian.

Jego karteczka zawierała pytanie:

Pani Martin?

Było to nie tylko pytanie, ale i warunek jego kapitulacji. Nie wracał potulny, położywszy uszy po sobie. Nie błagał o pozwolenie na zajęcie swego miejsca w domu.

Korciło go, żeby natychmiast wejść na górę i wypakować walizkę, ale wolał zaczekać. Małgorzata nie podała mu kartki z odpowiedzią, zostawiła ją na fortepianie, i zasiadła w fotelu i wzięła swoją robotę na drutach, jakby chciała dać mu do zrozumienia, że nic się nie zmieniło.

Zrobił parę niezdecydowanych kroków, wyciągnął rękę.

Wyrzuciłam tę wiedźmę za drzwi

Odczekała dłuższą chwilę, zanim podniosła na niego wzrok, żeby zbadać, czy jest zadowolony, po czym, jakby

nic się nie stało w ciągu ostatnich dwóch tygodni, poruszając wargami zabrała się do roboty na drutach.

*
* *

Do budowy przystąpiono dopiero wiosną. Najpierw przez wiele dni widać było samochody parkujące przed pustymi domami d grupki obcych ludzi, którzy pojawiali się i znikali. Czasem przychodzili z nimi robotnicy, których po chwili widziało się niespodziewanie na dachach, oddanych tajemniczym czynnościom.

Małgorzata, bardzo zdenerwowana, nie wytrzymywała dłużej niż pół godziny bez wyglądania przez okno.

Pewnego ranka, kiedy wyszli gęsiego po sprawunki, zobaczyli na ulicy de la Santé kordon policji. Bouin w pierwszej chwili pomyślał, że uciekł jakiś więzień, ale w drodze powrotnej — o dziesięć metrów za żoną — zorientował się, że chodzi o co innego.

Do zaułka usiłowano wprowadzić dźwig olbrzymich rozmiarów i tłum ludzi gapił się na widowisko. Ciągnik posuwał się naprzód, stawał, cofał o parę metrów i znów ruszał ostrożnie, podczas gdy cała ekipa krzątała się dookoła.

Małgorzata minęła ich z pogardliwą miną. Znalazł jej sprawunki porzucone na kuchennym stole. Wszedłszy po schodach na górę usłyszał, że płacze zamknięta w sypialni.

Zużyto calutki dzień, by wprowadzić dźwig, który stanął akurat naprzeciwko ich domu, omal nie wywracając amorka z. brązu.

Zaczynał się ciężki okres. Nazajutrz ciężarówka przywiozła pod sam dom olbrzymią żelazną kulę.

Przez dwa miesiące odbywał się tu prawdziwy cyrk. Po raz pierwszy kula uderzyła w poniedziałek. Przez parę poprzednich dni najpierw na dachach, a potem na występach muru i oszalowaniach robotnicy, jak akrobaci,

zachowując cudem równowagę, ciskali na ziemię sterty dachówek, które rozbijały się z trzaskiem.

Miał ochotę powiedzieć:

— Nie stój ciągle przy oknie.

Za każdym nowym hukiem wzdrygała się i dwadzieścia razy dziennie przytykała dłoń do piersi, jak osoba chora na serce.

Oboje, każde przy innym oknie, patrzyli, jak kula uniosła się w powietrze. Na dole mężczyzna w skórzanej kurtce miał w ustach gwizdek. Czerwono-biała barierka wzbraniała dostępu do zaułka.

Kula z początku kołysała się w próżni, jak wahadło zegara, kreśląc coraz to większy łuk. Wznosząc się najwyżej sięgała prawie murów. Stopniowo ruchy nabrały przyśpieszenia. Wreszcie uderzyła i na domu, który nosił numer ósmy, ukazała się pionowa rysa. Był niemal pewien, że Małgorzata w tym momencie wydała okrzyk zagłuszony przez hałas.

Kula wróciła, uderzyła znowu i jedna ze ścian zwaliła się w tumanie pyłu. Jakiś komin zawisł w pustce, przylgnąwszy do tego, co pozostało z pokoju obitego żółtą tapetą w paski.

Co dzień trzeba było wywozić gruz. Ciężarówki podjeżdżały jedna za drugą. Małgorzata i Emil wracając z miasta musieli kolejno opowiadać się, kim są, bo przepuszczano wyłącznie mieszkańców zaułka.

O piątej po południu hałas na szczęście cichł, żeby zacząć się od nowa o siódmej rano. Podłogi wisiały w powietrzu po dwa i trzy dni. Bieg schodów prowadził donikąd.

Ludzie rysujący się na tle nieba nadal uprawiali akrobację. Domy waliły się jak zepsute zęby, zostawiając po sobie dziury, w które Małgorzata wpatrywała się przejęta zgrozą.

Wiele razy w tym okresie miał się już do niej odezwać, powiedzieć jej byle co, parę uspokajających słów. Wiedział, że jest już na to za późno, że nic się nie da odwrócić.

Znowu czasem bywała napastliwa, przeważnie rano po nieprzespanej nocy. Pewnego dnia, śpiesząc się, żeby asystować przy robotach po przeciwnej stronie ulicy, którymi w końcu zaczął się pasjonować, nie zdążył wziąć prysznicu. Po paru godzinach znalazł na fortepianie karteczkę:

Powinieneś się myć
Brzydko pachniesz

Żadnemu z nich nie wolno było skapitulować. Żyli tym. Wymienianie zjadliwych bilecików stało się dla nich. naturalną koniecznością, jak dla innych ludzi wymienianie grzeczności i pocałunków.

Nie miał wątpliwości, że jej nienawidzi, choć zdarzało się, że litował się nad nią. Nie winił jej zresztą, że podstępem sprowadziła go tu na powrót, demonstrując fałszywą rozpacz pod oknami domu przy ulicy des Feuillantines.

Często dostrzegał, jak szybko powściąga uśmiech, wywołany niewątpliwie myślą o odniesionym niedawno zwycięstwie.

Odebrała go kobiecie młodszej, kobiecie, z którą na pewno sypiał.

Nie straciła więc nic ze swej mocy, ona, starucha, jak musieli ją między sobą nazywać.

Dźwig odjechał z tymi samymi trudnościami co przy wjeździe, zostawiając za sobą kupy pokruszonej cegły, sztukaterii, żelastwa i odpadków wszelkiego rodzaju, i przez miesiąc nie widać było nikogo, zapadła cisza, absolutny spokój, tylko nocą krążyły tu szczury i dobierały się do pojemników ze śmieciami.

Co prawda w ocalałych domach nie było teraz prawie nikogo, wszyscy siedzieli na wsi lub nad morzem, niektórzy w Hiszpanii czy we Włoszech.

Nawet dla kogoś, kto nie urodził się na tym skwerze i nie przeżył tu całego życia jak Małgorzata, było to widowisko przygnębiające, niezależnie od zapachu, cięż-

kiego, nieokreślonego odoru, przypominającego odór cmentarza, na którym wykopano świeże groby.

Z nadejściem września pojawiły się znowu ciężarówki i znowu posłużono się dźwigiem, żeby załadować gruz. Kiedy to się skończyło, na rumowisku widać było tylko piwnice, gdzie walało się parę etażerek i jedna beczułka bez; dna.

Zmieniały się załogi, zmieniał wygląd i akcent robotników.

Przyszła kolej na koparki, młoty górnicze i ogłuszony Bouin powrócił do zwyczaju spędzania części popołudnia w parku Montsouris. Brał z sobą książkę, sadowił się na swojej dawnej ławce z epoki Nelly.

Po dwóch dniach Małgorzata, która musiała go śledzić, usiadła na drugiej ławce, prawie na wprost niego, ze swoją wieczną robótką w ręku.

Lokatorzy dzwonili do drzwi i słyszał z salonu ich skargi pełne oburzenia.

Nic na to nie mogła poradzić. Nie potrafiła nawet im powiedzieć, kiedy roboty będą zakończone, i rodzina spod piątego wyprowadziła się po dwóch tygodniach; dom stał pusty mimo ogłoszenia w gazetach.

Przedsiębiorcy chcieli chyba nadrobić opóźnienie. Praca, zamiast kończyć się o piątej, ciągnęła się do siódmej i ponieważ mrok zapadał teraz wcześniej, zainstalowano reflektory.

Czy to była wina złej organizacji? Jednego dnia było to mrowisko w nieustannym ruchu, a nazajutrz i potem przez całe tygodnie nie widziało się psa z kulawą nogą. W kafejce, do której Bouin chodził na wino, plotkowano, że spółka budowlana ma za małe fundusze, że inne towarzystwo, finansowane przez duży bank, podejmie prace na nowo.

Komu wierzyć? Krążyły najrozmaitsze pogłoski. Minęła zima, na zmianę to pełna zgiełku, to znów cicha.

Małgorzata słaniała się jak człowiek śmiertelnie ugodzony. Była coraz bledsza i robiąc zakupy stawała cza-

sem z ręką przy piersi, z wymuszonym uśmiechem na ustach, żeby odwrócić uwagę przechodniów.

Nie chciała litości ani pytań o zdrowie. Kiedy musiała zatrzymać się, udawała, że ogląda jakąś wystawę, po czym znów ruszała naprzód drobnymi kroczkami, mniej pewnymi niż poprzednio.

Może była to po prostu komedia na użytek Emila? Wiedział, że jest do tego zdolna, i dlatego nigdy nie dawał się wzruszyć na dłużej.

Żonie rzeźnika, która spytała:

— Jak się pani czuje, proszę pani? Wygląda pani na trochę zmęczoną...

Odpowiedziała:

— Czuję się znakomicie... Poproszę o dziesięć deka sznyclówki...

Żona rzeźnika była z południa i w jej języku „trochę zmęczona" znaczyło to samo co „umierająca".

Bouin był też w złej formie, zdarzało mu się, że prawie tak samo powłóczył nogami. Wzdychał, wzdrygał się, kiedy wprawiano w ruch którąś z maszyn.

Unikał: ulicy des Feuillantines, próbował o niej nie myśleć. Co dziwniejsze jeszcze, ten drobny fragment jego życia wydawał mu się teraz wręcz niewiarygodny.

Z trudem uświadamiał sobie, że naprawdę to przeżył, że był wolny, bawił się w gospodarza małej kafejki i że wieczorami apetyczna dziewczyna z jędrnym jeszcze ciałem rozbierała się przy nim bez żenady.

Wystarczyło, żeby szepnął słówko, zrobił gest...

Pewnej niedzieli jedli obiad w Saint-Cloud w gospodzie, jak para zakochanych, jak młode małżeństwo...

I żeby się zemścić, wyrywał z notesika perforowaną kartkę i pisał dużymi literami:

Kot

ROZDZIAŁ ÓSMY

Ile czasu upłynęło od tego ranka, kiedy mimo grypy wstał, żeby zejść do piwnicy, i znalazł tam zesztywniałe zwłoki kota?

Nie wiedział już dokładnie. Daty mieszały się. Nie miało to zresztą żadnego znaczenia. Trzy lata? Dwa lata?

Była kiedyś pani Martin. Zobaczył ją potem tylko jeden raz, z daleka, parę miesięcy temu. Pewnie wyprowadziła się z dzielnicy albo też gdzie indziej robiła zakupy.

Była kiedyś Nelly...

Była Małgorzata na chodniku po drugiej stronie ulicy...

Była kula rozkołysana na tle nieba, złośliwie burząca mury, wśród których żyli kiedyś ludzie i które nosiły jeszcze ich ślady.

Był wiatr, deszcz, gruda, śnieg...

Koparka głęboko żłobiła grunt, napotykając rury i kable, rozwalając ściek, który przez trzy dni zasmradzał całą okolicę.

Byli robotnicy z cudzoziemskim akcentem, Włosi, Hiszpanie i wreszcie Turcy.

Były okrutne bileciki Małgorzaty i jego do niej.

Były...

Żył. Wstawał o szóstej, brał prysznic, golił się, schodził na dół, wnosił do domu pojemnik na śmieci, potem po wypiciu jednej, a przeważnie dwu lub trzech szklanek wina odrabiał swoją część prac domowych.

To dawniej pił najwyżej jedną szklankę...

Następnie przychodziła kolej na drzewo. Nie wolno było zapomnieć o narąbaniu drzewa. O niczym nie wolno! zapomnieć. Trzeba skrupulatnie wypełniać obowiązki...

Listopad. Śnieżna powłoka... Naprzeciwko wznoszone stopniowo mury, kesony, w których umocowano pręty żelazne, zanim zaleje się je betonem...

Była piąta po południu i załatwił wszystko, co miał

do załatwienia, sprawunki, obiad, mycie naczyń. Drzemał w fotelu w salonie, czekając, aż zapadnie zmrok, i widział Małgorzatę siedzącą na zwykłym miejscu...

Nie ruszała się, tak samo jak papuga... Nie patrzała na niego... Już od dawna na siebie nie patrzyli...

Poszedł na spacer... Potrzebował powietrza... Wstąpił do bistra... Nigdy nie upijał się, ale pił, pił sporo... Powinien na siebie uważać...

— Zdziry...

Nie miał nikogo na myśli. Mruknął tak machinalnie... Te słowa wracały do niego od czasu do czasu jak zaklęcie...

W dalekiej przeszłości, kiedy jeszcze rozmawiali ze sobą, zdarzało się, że Małgorzata szeptała w najmniej spodziewanych momentach:

— Jezus, Maria, Józef...

I kiedy wyrażał zdziwienie, tłumaczyła mu, że w ten sposób zarabia za każdym razem trzysta dni odpustu, trzysta dni, jeśli dobrze zrozumiał, które musiałaby spędzić w najlepszym razie w czyśćcu...

Mógłby pójść do Nelly... Uśmiechnęłaby się do niego z politowaniem, bo jeszcze bardziej zmarniał... Czy miałby jeszcze ochotę, dość siły, żeby przejść z nią razem za kuchenne drzwi?

Dwa lata?... Trzy lata?...

Prawdę mówiąc, nic już nie wiedział. Ludzie śpieszyli Bóg wie dokąd. Ich krzątanina nie miała żadnego sensu, jak i te oświetlone witryny, które przejmowały smutkiem i na które nikt nie patrzył z powodu zimnego wiatru.

W kinie ludzie siedzieli rzędami, bez ruchu, patrząc na ruchome fotografie...

To on był zmęczony. Wiedział, że tak będzie. Kobiety są bardziej odporne. Statystyki mówią prawdę...

Kiedy Angela...

Nie, to była Nelly... Ale Nelly z uśmiechem Małgorzaty...

W gruncie rzeczy wszystkie miały ten sam uśmiech,

uśmiech oznaczający, że w końcu zwycięstwo będzie po ich stronie...

...w swoim szerokim kapeluszu i w sukna princesse, z parasolką w dłoni, na brzegu rzeki...

To ona mu powiedziała, że suknia nazywa się princesse. Widywał takie na ulicy dawno, dawno temu...

Szpital Cochin... Dalej na prawo więzienie... Między nimi zaułek, gdzie stoi już tylko jeden rząd domów, których oświetlone okna zaskakują patrzących z daleka.

Nie było świateł w oknach jego domu, a raczej domu Małgorzaty. Wyjął klucz z kieszeni. Niespokojny, otworzył drzwi prowadzące w ciemność i ciszę...

Zapalił światło, zajrzał do salonu. Pusto. Na podłodze leży robota na drutach. W jadalni i w kuchni też nie ma nikogo. Wszedł na górę najszybciej, jak umiał. Na pewno wyszła umyślnie, żeby napędzić mu strachu.

— Mał...

Omal nie zawołał jej po imieniu, zapominając, że nie mówią do siebie... Pchnął drzwi... Przekręcił kontakt... I była tu na dywaniku przed łóżkiem, jak spodziewał się ją. znaleźć...

Nie zdziwił go ten widok. Ciekawe, że posłała łóżko, zdjęła suknię... Śmierć podcięła ją, kiedy była w halce...

Czy wzywała go? *Czy* wołała jego imię w tym pustym domu, gdzie nie było nawet echa?...

Ogarnął go popłoch. Zbiegł ze schodów, wyszedł na ulicę, nie troszcząc się o zamknięcie drzwi, i szybko ruszył w stronę bulwaru Arago, gdzie mieszkał doktor Burnier. Bouin nigdy go nie widział. Lekarz nie bywał w ich domu, ale pewnego dnia, kiedy śledził Małgorzatę, zobaczył, że tu wchodzi, i odczytał jego nazwisko na tabliczce.

Dzwonił, dzwonił...

— O co chodzi? Doktora nie...

Śniada służąca z silnym cudzoziemskim akcentem. Dyskretnie oświetlony przedsionek wykładany marmurem.

— Moja żona...

— Mówię przecież, że doktora...

— Moja... to moja żona...

Chciała zamknąć drzwi, ale przyjrzawszy mu się, nagle zmieniła zdanie.

— Co panu jest?...

— Nic... To moja...

Słaniając się zrobił parę kroków. Na lewo stała kozetka w stylu Ludwika XVI, pokryta bladoróżowym aksamitem jak jedna z sukien..i

Mgła też była różowa...

Kiedy otworzył oczy, z początku nie widział nic prócz bieli. Wydało mu się, że świeci słońce. Odwracając lekko głowę rozróżnił łóżka, twarze.

— Proszę się nie ruszać...

Spróbował spojrzeć w drugą stronę, udało mu się. Siwowłosa pielęgniarka z zegarkiem w ręce trzymała go za przegub...

— Ciiicho...

Liczyła końcem warg, bezgłośnie, jak Małgorzata licząca oczka roboty na drutach.

— Moja...

— Ciii...

— Gdzie...

— Spokojnie! Proszę się nie bać. Jest pan w szpitalu pod naszą opieką... Profesor zaraz nadejdzie...

Określenie „profesor" zwiodło go, nasunęło mu na myśl / szkołę. Nie był całkiem przytomny. Ciało miał tak odrętwiałe, że nawet nie poczuł, kiedy odłożyła jego dłoń na łóżko...

— Moja żona...

— Wiem... Zrobiono, co trzeba...

Profesor... Co trzeba... Co to znaczy „trzeba"?... Komu trzeba?...

— Ale ona nie żyje... — znalazł dość siły, żeby to powiedzieć.

Jego głos był prawie niedosłyszalny, choć zdawało mu się, że krzyczy.

— Cicho... Proszę... Już jest...

Z ulgą wstała z krzesła i po cichu rozmawiała ze starszym panem w białym kitlu. Oboje przyglądali mu się.

— Nie zbiera się panu na wymioty?

Wie wiedział. Nic nie czuł. Trochę tak, jakby jego ciało już nie należało do niego.

Ani mdłości, ani ostrych boli.

Lewą ręką pomacał pierś i zdziwił się wyczuwając pod palcami twardy opatrunek.

— Operowano pana ubiegłej nocy. Przede wszystkim nie wolno się panu ruszać...

— Moja żona...

— Zajmują się nią...

— Ona przecież nie ży...

— Tak...

— A ja?

Lekarz nie zdołał powściągnąć uśmiechu. — Pan będzie żył, ale nie taję, że zostanie pan tutaj długo... Będzie pan musiał być grzeczny...

— Tak...

Obiecał. Zawsze był grzeczny. Będzie grzeczny tak długo, jak zechcą, tak długo, jak mu pozwolą...

Był... Trudno jest myśleć... Uśmiech lekarza... Był... Szukał słowa... Nie mógł znaleźć... Wcale go już nie było...